





KAROL SZAJNOCHA.

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA



WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1909

21  
335  
365



*M. M. B. B.*  
*366*



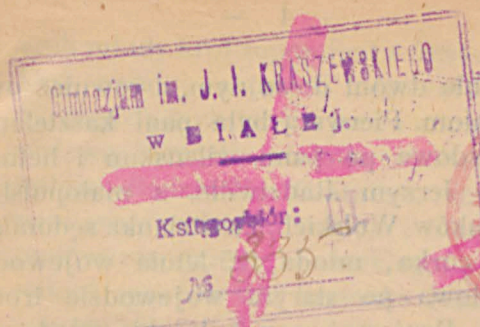
1556

*Radzi  
Witowce*



10013815

Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki,



### I. Schadzki.<sup>1)</sup>

Wyjeżdżając przed trzema wieki, w r. 1545, wschodnio-północnym gościńcem za bramy miasta Wilna, widziałeś po lewej stronie wzdłuż brzegów Wilii naprzód niższy zamek królewski, oparty o wysokie mury kościoła katedralnego, a tuż poniżej obszerny dwór radziwiłłowski, otoczony dookoła drzewami rozległego ogrodu. Jedyny przedział między tymi obydwoma gmachami tworzyła niezbyt szeroka ulica z rzeczką Wilenką, która, jednym ze swoich ramion opływając cały zamek królewski, wpadała tu do Wilii. Na zamku przebywał młody król Zygmunt, 25-letni młodzieniec, mający powierzone sobie rządy W. Księstwa, od kilku miesięcy wdowiec po swojej pierwszej małżonce, Ralszance Elżbiecie. Dwór radziwiłłowski służył

<sup>1)</sup> Zaznaczając historyczny charakter tego opowiadania, nie potrzebujemy dodawać, że wszystkie przytoczone w niem szczegóły są prawdziwe i autentyczne. Nawet drobneśtki, jak jaśkier i fijołki w ogrodzie radziwiłłowskim, formę listów Barbary, barwę jej sukni, wzięliśmy w każdym razie z ówczesnych korespondencji, rejestrów, pamiątek i różnorakich zapisków (*Przyp. aut.*)



za mieszkanie dwóm dostojnym, a również owdowiałym paniom. Pierwszą była pani kasztelanowa wileńska, wdowa po panu wileńskim i hetmanie W. Ks. L., Jerzym Radziwille, z małopolskiego domu Kolanków Wolskich, kasztelanica sędzińska; drugą, jej córka, młoda, 25-letnia wojewodzina trocka, wdowa po starym wojewodzie trockim Gasztoldzie. Ponieważ pan wileński przed czterą, wojewoda zaś trocki przed trzema laty umarł, przeto skończyły już obiedwie panie żałobę i bywały od dłuższego czasu w kompaniach. Zdarzyło się im nawet gościć w roku zeszłym kilkakrotnie na pokojach zamkowych, które przed śmiercią młodej królowej Elżbiety brzmiały ustawicznymi ucztami. Nie przyszło jednak wówczas do żadnego przyjaźniejszego zbliżenia między zamkiem a dworem, a z niedawną śmiercią królowej, przerywającą szereg dotychczasowych festynów dworskich, przerwały się także wszelkie pomiędzy nimi stosunki.

Zmarła królowa, jakkolwiek piękna, cnotliwa i powszechnie wielbiona, nie posiadała miłości swego młodego małżonka. Stąd nie bolał on srodcie po jej stracie, a będąc nadzwyczajnie czynnym i lubiąc wielce zabawy, znosił z trudnością posępność obowiązkowej po Elżbiecie żałoby. Widząc to, młodzi panowie, otaczający Zygmunta Augusta, starali się wszelkimi sposobami rozweselić go. W miejsce publicznych festynów dworskich nastąpiły teraz prywatne igraszki i krotofile <sup>1)</sup>, w któ-

<sup>1)</sup> Zabawy, przyjemności.

rych młody król zapominał z towarzyszami o wszelkiej różnicy stanu i folgował chciwie uciechom. W gronie tych towarzyszy można wymienić Stanisława Kieżgalla, stolnika w. litewsk., szwagra Mikołaja Radziwiłła Czarnego, stryjecznego brata pani wojewodziny trockiej, i Stanisława Dowojnę, podówczas starostę mereckiego, później wojewodę połockiego, również bratanka Radziwiłłów. Osobliwie ten ostatni, dworak przebiegły, obeznany z rzemiosłem lekarskim, pełen sekretów i sentencji <sup>1)</sup> medycznych, zresztą dwujęzyczny <sup>2)</sup> i krętacz, dbał o zadowolenie młodego króla. W gronie takich towarzyszy bywała często mowa o najpiękniejszych kobietach w kraju. Jednego razu wspomniano panią wojewodzinę trocką. Król przypomniał ją sobie niewyraźnie z przeszłorocznych festynów dworskich. Głośne pochwały, oddawane niezmierzonym wdziękom wojewodziny, skłoniły króla do ponowienia sobie jej miłego widoku. Otoczony gronem szlachetnej młodzieży dworskiej, udał się August w odwiedziny do sąsiedniego dworu radziwiłłowskiego.

Gościńska wycieczka króla przyniosła obydwóm stronom wielką przyjemność. Zygmunt August przekonał się o rzadkich wistocie wdziękach pani wojewodziny, którym, jakkolwiek wybredny, nie zarzucić nie umiał. Jej nadzwyczajnie regularne rysy twarzy, alabastrowa cera, delikatna budowa wiotkiej postaci, były to jeszcze zalety, które z pa-

<sup>1)</sup> Zdań, zawierających jakąś prawdę lub myśl moralną.

<sup>2)</sup> Kłamec, obłudnik.



nią wojewodziną dzieliło wiele szlachejnych córek Litwy. Ale czem ona silniej od wszystkich innych pociągała serce ku sobie, to była jej niewymowna słodycz wejrzenia, będąca w milej harmonii z łagodnością jej mowy, z nadobną nawet powolnością jej ruchów. Widząc ją z dala, można było w tych spokojnych wdziękach upatrzeć brak potrzebnej do ich uzupełnienia żywości charakteru. Bliższe jednak wpatrzenie się w piękne oblicze pani wojewodziny, zapoznając z jej pełnem głębokiego marzenia okiem, z promienną dumą jej wyniosłego czoła, odsłaniało zato skarb innych, wspanialszych wdzięków. Zamiast żywości zewnętrznej, ileż najpiękniejszego życia, bo życia duszy, jaśniało w tem zamysłonem oku, ocienionem lekko narysowaną rzęsą! Klasztorne wychowanie pań polskich nakazywało im zazwyczaj ukrywać światło tego wewnętrznego życia pod korcem pobożnej skromności i pokory. Wdowi stan pani wojewodziny, nie pozbawiając jej uroku młodej dziewczycy, pozwalał przebijać się temu światłu w śmielszem niekiedy spojrzeniu, w wyrazistszym tonie słowa tklivego. Nadto, było wychowanie niewieście daleko swobodniejsze w Litwie, niż w Polsce; skąd też pannie litewskie znaly się oddawna na sztuce nadobnego uwydatniania swych wdzięków, jeśli nie chcemy powiedzieć, osidływania nimi serc męskich. Mogła tedy piękna litewska wdowa tem snadniej zająć młodego króla polskiego, ile że on wśród ognistych spojrzeń włoskiego fraucymeru <sup>1)</sup> swojej

<sup>1)</sup> Dwór kobiecy.

matki Bony wyrósłszy, a klasztorzem zwyczajnie ułożeniem córek Korony zniechęcony ku paniom polskim, pragnął właśnie swobodniejszego objawu wdzięków i uczuć niewieścich. Teraz znalazł on tę swobodę obfitego życia wewnętrznego, połączoną w nader uroczy sposób z naturalną skromnością łagodnego usposobienia, i ucieszył się tem, jakby na widok najpowabniejszej, jaką mu się kiedyś ujrzyć podarzyło, piękności.

Podobnież i wrażenie, sprawione obecnością Augusta, nie było wzajem niepomyślne królowi. Wysmukły, słusznego wzrostu młodzieniec, pociągłej, melancholijnej twarzy, wzniosłego czoła, kruczego włosa, nie potrzebował być królem, aby się mógł podobać. Blask korony upiększał go wdwojnásób w oczach matki i córki. Obiedwie oczekiwały z ciekawością, czy też odwiedziny królewskie wkrótce powtórzą się.

Odwiedziny powtórzyły się. Owszem, powtarzały się odtąd tak często, że wnet ciekawość, z jaką ich pierwotnie oczekiwano, ustąpiła u matki i córki jakiemuś dziwnemu zamyśleniu. Nie śmiano jeszcze powierzyć sobie swych myśli, lecz tak stara kasztelanowa, jak i piękna wojewodzina zajmowały się widocznie coraz troskliwszem uprzyjemnianiem królowi odwiedzin we dworze radziwiłłowskiem, baczyły coraz uważniej na każde słowo królewskie. Nareszcie wyczytana z nich wieść zdała się być dość pewną, aby ośmielić matkę kasztelanową do wyrzeczenia w poufnej rozmowie z córką słowa miłości królewskiej. Pani wojewodzina wiedziała o tem lepiej, niż matka, ale nie mówiła.



Stała się tylko nieco weselszą i żywszą, co młodego króla tem więcej zachwycalo.

Jawna już dla rodziny miłość króla w wojewodzinie mogła wprawdzie zadziwiać, lecz nie obrażać. Córką domu Radziwiłłów nie z dala od tronu urodziła się. Niepodobna jej było zostać miłośnicą królewską, lecz podobna było koronie uwieńczyć jej skroń książęcą. Toć pradziad młodego Zygmunta Augusta, Jagiello, podzielił się tronem z niezamożną, chorą szlachcianką polską; dla czegożby prawnuk wzdragał się związku z piękną córą rodziny, ważącej potęgą losy kraju swojego? Nie lękał się więc dwór radziwiłłowski żadnego stąd uszczerbku swej dobrej sławie; ale spokojny względem tego, o czem był pewnym, że się nie stanie, nie zdołał z również obojętną spokojnością myśleć o tem, co się stać mogło. Możliwość ślubnego połączenia króla z wojewodziną zajęła gwałtownie umysły Radziwiłłów. Postanowiono zezwolić na wszystko, coby króla przyzwyczajalo do towarzystwa wojewodziny. Matka kasztelanowa nie umiała się nawet wstrzymać od zasięgnięcia rady i pomocy środków nadziemskich. Czy to dla zbadań losów przyszłości, czy gwoli dojścia sposobów, którymiby młoda miłość królewska dała się rozżarzyć i utrzymać, udawała się stara Litewka do sztuk magicznych, praktykowała z wrózkami litewskimi i jakimś Niemcem Hagnerem gusła i czary, sprowadziła nawet aż z Błonia pod Warszawą jakąś sławną wrózkę w tym celu. Bracia wojewodziny, Mikołaj Rudy, podczaszy w. lit., rodzony, i Mikołaj Czarny, marszałek w. lit., stryjeczny, na-

turalni opiekunowie wdowy, patrzyli z pobłażaniem na zalecanie się króla do siostry. Jeśli matka i bracia dla korony córki i siostry tyle wyrozumienia i względów mieli, dziwnaż, iż sama wojewodzina lubowała w nadziei tego zaszczytu, który jej własną skroń miał ozdobić?

Toteż długo już ciągnęła się znajomość Zygmunta Augusta z wojewodziną trocką. Z czasem odwiedziny ceremonialne zamieniły się w poufne schadzki prywatne. Dawno już wyznał w nich August miłość swoją wojewodzinie i otrzymał znak wzajemności. Miało to przecież być tajemnicą przed matką i braćmi. Taką tajemnicą osłoniła także coraz częstsze schadzki miłosne. Odbywały się one w ogrodzie dworu radziwiłłowskiego. Dla ułatwienia ich sobie kazał młody król zbudować most na Wilence, przedzielającej zamek od dworu. Tym to mostem, łączącym prawie bezpośrednio tylną furtę zamku niższego z furtą radziwiłłowską, pośpieszał król wieczorami do ulubionego ogrodu. Był to obszerny ogród włoski, otoczony cienistymi szpalerami litewskich lip i jodeł. W tylnej części ogrodu znajdowały się rozległe sady wisien, jabłoni i innych drzew owocowych. Bliższa pałacu część błyszczała rybnymi sadzawkami. Dokoła wód kwitnęły rozmaite rodzaje kwiatów, zasadzonych w duże bukiety. Tu woniały krzewy bzu, rozmarynu i nardów, tam jaskru i bukszpanu, owdzie lawendy i fijołków. Cały ogród z swoim przepychem roślin, z wznoszącym się w środku pałacem, wystawionym niedawno przez architektów włoskich z niezwykłego podówczas materiału, bo z cegieł,



uchodził w oczach tamtowiekowej Litwy za dziw cudzoziemskiej wytworności i elegancji. Odpowiadała im też delikatność uczuć pary miłosnej, szukającej schronienia w cieniach ogrodu. Znany melancholijny temperament Augusta i łagodne, do marzenia i samotnych dumań skłonne usposobienie wojewodziny wykluczały z tych schadzek wszelką zmysłowość i namiętność. Trefiła<sup>1)</sup> je obca tym północnym stronom sentymentalność, zaszczerpiona obojgu kochankom wczesną edukacją włoską, przystającą nader zgodnie do wrodzonej miękkości serc. Gdyż i pani wojewodzina otrzymała wychowanie w duchu dworu królowej Bony, a niejedno z tajnych słówek miłości włoskim szepotała dźwiękiem. Niejedna też z słodkich niespodzianek tego miłosnego pożycia obdarzała kochankę i kraj północny nieznana mu ozdobą ziem odległych, stron południowych. I jak najromantyczniejszy onego wieku czciciel płci pięknej, rycerski król Francji, Franciszek I, mało co przedtem zaprowadził łabędzie na Sekwanie, tak i wytworny syn Bony ucieszył jednego razu kochankę niespodzianym widokiem sprowadzonych przez się łabędzi. Osadzone na małej, wierzbowymi krzewy porosłej wyspie Wilenki, w pobliżu ogrodu radziwiłłowskiego, były one długo dla miasta Wilna wdzięczną pamiątką miłości młodego króla.

Ale nie ta subtelność sentymentu i nie te przybory wytworności zagranicznej stanowiły najpiękniejszą ozdobę tego ogrodowego romansu.

<sup>1)</sup> Zdobiła.

Była nią głęboka prawda uczuć, ożywiających parę zakochaną, a zwłaszcza serce Zygmunta. Że Barbara kochała, nie dziw zaprawdę. W jednym wieku z Augustem, a tem samem, jako kobieta, starsza odeń moralnie, widziała ona dokładnie wszystkie światowe zyski swojego związku. Późniejsze okoliczności aż nazbyt nas oświecają, w jakiej cenie był u niej ostatni tego związku tryumf — korona. Gdy w następnych latach gwałtowny opór kraju przeciw małżeństwu króla z Barbarą zagroził mu nawet straceniem z tronu, gdy wielu możnych panów zaprzeczyło mu władzy królewskiej, a po całej Polsce krążyły już pogłoski o bezkrólewiu, — nie ozwało się w Barbarze ani jednym słówkiem życzenie ulżenia mężowi nawału tych niebezpieczeństw przez poprzestanie na dokonanych już ślubach kościelnych, bez głośniego uznania ich od narodu, bez koronacji. Gdyby nie rzadka roztropność Augusta, byłaby miłość Barbary, za augustową chęć ubrania ją w koronę, wynagrodziła męża pozbawieniem go tej korony. Wielki tedy urok miała w myślach naszej kochanki nadzieja berła. Na szczęście dla dumy niewieściej, nie widziało oko kobiece nie wstrętnego w charakterze i powierzchowności swojego króla. W pierwszej młodości, przystojny, wspaniały, a nadewszystko tak szczerze kochający, jakże nie miałby on prawdziwej, równie szczerzej wzbudzić miłości! Nikomuż zapewne przez myśl nie przejdzie, aby nie dowierzać uczuciom wojewodziny. Kochała ona w końcu naprawdę, całą duszą. Ale o ileż bezinteresowniejszą, idealniejszą była miłość Augusta! Dla Barbary miał ten zwią-



zek same rozkosze i tryumfy, dla Augusta, aż po jej zgon, same cierpienia. Ze względu na tę niczem niezachwianą wierność i wytrwałość Augusta, na tę prawdę jego młodzieńczego przywiązania, gdyby historia narodów była historią prywatnych cnót królewskich, nie byłoby króla nad Zygmunta w stosunku do Barbary. I taż głęboka prawda uczucia podnosi piękność tych schadzek ogrodowych nad wszystkie znane w dziejach romanse. Obaczmy później, ile to czuła i uznawała sama Barbara, gdy w chwili, kiedy wszystkie ziemskie względy znikają, przeniosła wileńskie strony tego serdecznego kochania nad wszelką okazałość królewskiej stołeczności Krakowa, nad wszelką chwałę spoczynku pośród królów.

Trwało to serdeczne kochanie już kilkanaście miesięcy. Dość długo — aby tymczasem rozejść się mogły po kraju różne o niem pogłoski. Zabiegły one aż do Korony, na dwór starego króla Zygmunta. Zafrasowana królowa Bona pisywała wraz z królewnami list po liście do syna Augusta w Litwie, odwodząc go od niestosownych związków. Toż samo postanowiła także uczynić teraz rodzina Radziwiłłów. Miano już wszelką pewność, że przywiązanie młodego króla dojrzało do tego stopnia, aby się nie odstraszyć przeciwnościami. Potrzeba więc nasunąć królowi przeciwności, któreby je tem mocniej zaostrzyły. Zaczem stanęła rada familijna pomiędzy matką kasztelanową i obydwoma braćmi Mikołajami, Rudym i Czarnym, i udali się obaj bracia do młodego króla z pokorną prośbą, iżby raczył zaniechać odwiedzin u pani wojewodziny

trockiej, podających cały dom Radziwiłłów, a zwłaszcza samą panią wojewodzinę, w obmowę ludzką. Uderzony tą prośbą, król uczuł natychmiast całą jej słusność i, gotów w każdym razie iść za popędem swego wspaniałego umysłu, dał braciom słowo, że nie przestąpi więcej progu mieszkania wojewodziny. Bracia odeszli z głęboką, obyczajem litewskim, czołobitnią. August stłumił mężnie ból serca i nie miał już widzieć wojewodziny.

I długo nie widział jej. Lecz mógłże nie widzieć zawsze? Gdzież moralna pociecha, któraby mu wynagrodziła taką ofiarę? Zyskiwałoż na niej doprawdy dobro narodu? Umysł rozkochanego młodzieńca nie umiał tego uznać. W wiernem dotrzwaniu kochance widział on tylko możność udostojnienia, uszczęśliwienia jej, a to nakazywało mu dotrwać. Czekał tedy jedynie porozumienia z wojewodziną, aby się znowuż widzieć z nią potajemnie, w pięknym ogrodzie radziwiłłowskim.

Tymczasem stara matka kasztelanowa radziła się guseł z wrózkami. Bracia strzegli bacznie furty ogrodu, wiedząc, co robią w razie nadejścia młodego króla. Pani wojewodzina zaś szukała właśnie pieniędzy do pożyczania. Piękne wdowy bywają zazwyczaj w ambarasach pieniężnych. Temci łatwiej mogło to wydarzyć się pani wojewodzinie trockiej, która w swoim sekretnym stosunku z królem miewała zapewne niejedną małą wydatek do załatwienia, a jakkolwiek wielka pani, zwyczajnym ówczesnego gospodarowania trybem, znachodziła się często w niedostatku gotówki. Przeto w tym samym czasie, kiedy młody król Polski i Litwy



utęskniał do niej najmocniej, piękna pani wojewodzina zastawiała u niejkiego p. Iwanowskiego łańcuch złoty i dwa czapraiki złociste, ważące razem 227 czerw. złotych. węgiersk. i półtrzyńście grzywien, za sto kop groszy i dwadzieścia kop groszy i ośm kop groszy i 8 miednic (96 garncy) miodu, przeznaczonego widocznie na potrzebę licznego dworu, zapisując się na to wierzytelowi swojemu solennym, opieczętowanym cyrografem w języku ruskim.

W kilka dni po wydaniu tego skryptu miał Zygmunt August nareszcie widzieć się znowu z wojewodziną. Było to pod koniec września r. 1537, w pogodną noc jesienną. Wziąwszy z sobą dwóch dawnych powierników, w. stolnika litewsk. Kieżgałę i starostę mereckiego Dowojnę, obudwóch poufników radziwiłłowskich, wszedł młody król znaną drogą do ulubionego ogrodu. Towarzysze pozostali na uboczu, August pośpieszył do komnat wojewodziny, do stóp kochanki. Gdy radość nowego widzenia się, nowej z sobą rozmowy zatarła już w rozgrzanem sercu kochanków wszelkie ślady smutku z rozstania poprzedniego, otwarły się podwoje, i wstąpili do komnaty obaj bracia Mikołajowie, Rudy i Czarny.

»Przyrzekłeś, miłościwy królu, nie bywać u siostry naszej« — ozwali się do królewskiego młodziana: »Dlaczegoż więc przyszedł teraz?«

Wspaniały August spojrział im dumnie w oczy i rzekł: »Któż wie, może dzisiejsze przyjście moje przyniesie wam wieczną sławę i cześć!«

»Daj to, Boże« — odpowiedzieli bracia radzi-

wiłłowscy i, uchyliwszy znowu podwoi, przywołali oczekującego już za drzwiami księdza w ornacie. Weszła nadto stara matka kasztelanowa z panem stolnikiem Kieżgałą, i w obecności tych czterech osób pokrewnych związała stula kapłańska ręce szczęśliwie zniewolonej pary miłosnej.

Najgłębsza tajemnica miała okrywać ten akt stanowczy. Zależała od tego skuteczność dalszych starań o uznanie jego ważności wobec narodu. Pozostała tedy małżonka królewska i nadal przy matce, na dworze radziwiłłowskim, a nie przerywane już teraz schadzki młodych małżonków były tą samą osłonięte tajemniczością, która dodawała tyle uroku niedawnym odwiedzinom miłosnym.

Zaledwie jednak sześć do siedmiu tygodni dozwolono było młodzieńczej parze używać tego szczęścia tajemniczego. Już w połowie listopada musiał Zygmunt August wybrać się w podróż do Polski, do Krakowa, aby bądźto w rodzinie królewskiej, bądź pomiędzy zgromadzającymi się właśnie na sejm piotrkowski panami przedsięwziąć pierwsze kroki ku uprawnieniu małżeństwa z wojewodziną. Chęć podniesienia dostojęństwa Barbary nakazywała porzucić ją w pierwszych tygodniach związku lubego; ochoczo więc wyrwał się August w sprawie kochanki od jej boku i tylko tem się troskał, jakby na czas oddalenia swojego z Litwy ubezpieczył pozostawiony tam skarb. Dwór radziwiłłowski nie zdawał się na tak długi czas dogodnym ku temu miejscem. Potrzeba najściślejszej tajemnicy, a może nawet bezpieczeństwo osoby małżonki królewskiej, na którą w razie zbyt gwałtow-



nego oporu rodziny królewskiej i panów polskich mogłaby się targnąć zjadłość stronnictw lub skrytobójcza pojedynczych nieprzyjaciół nienawiść, żądały schronienia Barbary w miejscu ustronnem, warownem, niedostępnem. Był takim radziwillowski zamek Dubinki, odległy o siedem godzin drogi od Wilna. Tam więc miała małżonka królewska zamieszkać przez czas nieoznaczony, pod strażą właściciela zamku, brata Mikołaja Rudego, podczaszego w. lit., i Stanisława Dowojny, starosty mereckiego. Jakoż jednego prawie dnia wyjechały z Wilna około 15 listopada r. 1547 w różną stronę mnogie podróżne powozy dworskie, uwożące młodego króla do Polski, piękną zaś małżonkę królewską do samotnych Dubinek.

## II. Dubinki.

Od zamieszkania Barbary w Dubinkach rozpoczął się szereg jej bolesnych doświadczeń. Co w onych ogrodowych schadzkach z kochankiem, w samotnych rojeniach komnatowych tak rozkosznymi snami przyszłości kołysało młodą wojewodzinę, jakże srodze miało to obecnie w rzeczywistości dojmować małżonce Augustowej! Słodczyce powszedniej miłości mogła kasztelanica wileńska w każdym powszednim kosztować związku. Jedyną zaś rozkosz niepowszednią, jaką ten koronny związek przyniósł jej w darze dotychczas, upragnione miano »waszej królewskiej mości«, którem usta kilku poufnych członków rodziny pieściły

już ucho pięknej Radziwillówny, a którego niewolno jeszcze było usłyszeć z ust cudzych, w przytomności tłumnego zgromadzenia, jakże drogo przyszło opłacić zaraz tak śpiesznem rozstaniem się z kochankiem, tak przykrą pięciomiesięczną samotnością w ustronnym zamku.

Leżał on na dość wysokiej górze, w pośrodku szerokiej doliny, podnoszącej się ku głębi w porosłe dąbrowami pagórki. Podnóże góry zamkowej oblane było jeziorem, stanowiącem główną obronę miejsca. Dalej, po niższych warstwach wzgórz okolicznych, zieleniły się łąki niwy różnego zboża. Cały prawie widnokrąg zamknięty był ciemniącym po wyżynach pasmem lasów odwiecznych.

Wyobraźnia dzisiejszych widzów lubi wystawiać sobie tę okolicę w świetle słońca letniego, kiedy z okien zamku na górze otwierał się prześliczny widok na czyste wody jeziora, na łąki zbóż kwitnących, na wieniec dąbrów dookoła. Ale dziś nie masz wcale zamku w Dubinkach; znikły nawet ostatnie ślady gruzów z przybytku oblubienicy jagiellońskiej, a w porze, kiedy ona po raz pierwszy z okien zamkowych wyjrzała, szarzał cały widnokrąg słątą jesienną.

Wszystko składało się na to, aby Barbarę teraz udęczyć. Rozstanie się z Augustem, niepewność, jak długo wypadnie teraz przebyć w Dubinkach, niepogoda jesienna, wreszcie sama podróż do Dubinek, szesnasto-godzinna jazda od rana do późnej nocy trująca obiedwie damy, małżonkę królewską i matkę kasztelanową — wszystko to wprowadziło delikatną Barbarę w stan cierpiący, który



nazajutrz po przybyciu na miejsce przeznaczenia wielce się jeszcze pogorszył. Pielęgnowała Barbarę w tej słabości sama pani kasztelanowa. Przebiegły Dowojna pełnił obowiązki lekarza. W tymto głównie celu przyłączył go August, jak się zdaje, do zamku dubińskiego. Nie widział wprawdzie pan starosta merecki innych symptomów cierpień Barbary, jak tylko »niewymowny płacz wielki, a z onego tak wielkiego płaczu częste, a okrutne omdlewanie«, ale te bolesne objawy żalu po rozłączeniu z Zygmuntem, trwające przez cały tydzień, bywały niekiedy tak gwałtowne, że po kilkakroć przez dzień, a nawet i w nocy przybiegano po pana starostę, mówiąc, że jej królewskiej miłości bardzo źle. To też nie darmo skarży się starosta w liście do króla Augusta, że, gdyby tak miało trwać dłużej, byłby niezawodnie oszalał, bo mu się ten tydzień wydał w takiej pracy za rok. Wszakże ta rubasność ma właściwie zamiar pochlebstwa. Gdy bowiem owe płacze i omdlewanie wywoływała jedynie żal po królu, przeto nieumiarkowany z tego powodu wybuch niecierpliwości starosty miał być tylko wskazówką miłosnego szczęścia Augusta. Jakoż upewnia go starosta o niem w tym samym liście powtórnie, bez przenośni, »pisząc prosto w. m. memu miłościwemu panu, że, lubo ja sam w mych jeszcze niestarych leciech jestem, ale chociaż będzie drugiemu i sto lat, piszę w. król. mości, memu miłościwemu panu, pod mem sumieniem, jako się Stworzyciela swego boję, że nie widział, któraby małżonka miała małżonka swego tak miłować bardzo, jako jej miłość Waszą król.

mość miłuje, swego miłościwego Pana i małżonka. *Quia probavi et vidi*«<sup>1)</sup>).

Przerywały samotność dubińską tylko listy młodego króla. Pisywał je August zwłaszcza w początkach swej podróży bardzo często. Później, za przybyciem na sejm koronny w Piotrkowie, musiała miłość Augusta zwrócić całą uwagę na sprawy i okoliczności miejscowe, aby, zręcznie z nich korzystając, zjednać przyszłej królowej potajemnie bogdaj kilku możnych sprzymierzeńców u dworu i w narodzie. Stąd listy królewskie stały się nieco rzadsze, i tylko przypadkowo zastępowała je jakaś luźna, często wcale mylna wiadomość z Polski.

W tym czasie piękna Barbara cieszyła swoją tęsknotę i pokątność swego przybytku nadzwyczaj gorliwą pobożnością. Był to najspodniejszy środek zapewnienia szczęśliwego końca frasunkom dzisiejszym. Zdjęła tedy małżonka królewska w pokorze ducha swoje kosztowne szaty, a przywdziała odzież ubogą. Przyjęła nawet na czas oddalenia Augusta, jak starosta merecki królowi pisze, »regulę bernardyńską«. Zaczem jeszcze na dwie albo trzy godziny przede dniem wstawiała z łoża, szła do kościoła, będącego na górze zamkowej, i modliła się tam gorąco za Augusta i siebie. Wracając ze mszy, rozdzielała każdego dnia własnymi rękoma hojną jałmużnę pomiędzy ubogich okolicznych, nie wiedzących, z jakiej dłoni przyjmują dar pobożny. Zgoła teraz to dopiero, z okiem w błyszczącej z dala koronie tkwiącem, przybrała Barbara postać skru-

<sup>1)</sup> Ponieważ stwierdziłem i widziałem.



szonej, żałobnej wdowy, jakiej nie miała wcale, oplakując wczesny zgon pana wojewody trockiego.

Atoli wszelka pobożność nie zdołała złagodzić cierni opuszczenia i samotności. Cóż za fortunny dzień, gdy któryś z najpoufańszych dworzan młodego króla, jadąc z Wilna za Zygmuntem Augustem, zboczył do ustronnych Dubinek, aby młodemu królowi naoczną stamtąd przywieźć wiadomość. Oprócz tej pożądanej nowiny szły z nim natenczas listy od Barbary i jej obrońców, a listowi małżonki królewskiej towarzyszył jeszcze jakiś upominek miłosny. Zdarzył się taki niespodziany posłaniec w pierwszych tygodniach pobytu w Dubinkach, w osobie pana Floryana Zebrzydowskiego, sekretarza Augustowego, jadącego za królem do Piotrkowa. Będąc powitana odeń prośbą o słowo przyczynne do Augusta, poradziła się Barbara na przód brata, podczaszego lit. Mikołaja Rudego, i pana starosty mereckiego, a potem zamknęła się w komnacie, dla pisania listu do króla.

Duży, we dwoje złożony arkusz leżał w całej swojej długości przed nadobną oblubienicą Augusta. Zamyślona nad treścią listu, wybierała ona pomiędzy piórami, zaciętymi nadzwyczajnie szeroko, do grubego pisma rąk tamtoczesnych. Wybrawszy sobie najcieńsze, podniosła »jej miłość« swoją piękną, tak czule nieraz przez Augusta pieszczoną rękę wysoko w lewy kąt półarkusza i zaczęła u samej góry, jakby w dalszym ciągu jakiegoś na drugą kartę przeniesionego listu, w szeroko od siebie odległych, lecz wcale prostych liniach, dość

drobnem na owe czasy pismem, następne kreślić słowa:

»Nayaszniejszy m k. panye a panye moy m«. — Tem zapełnił się cały wiersz pierwszy. Poczem w zupełnie podobnym wierszu drugim, również starożytną pisownią, którą jednakże usta pięknej piszącej brzmieniem dzisiejszem, tylko zapewne nieco z litewska wymawiały, a którą my przeto zmieniamy w ortografię dzisiejszą, następowały bez żadnej przerwy:

»Jadąc za waszą królewską mością, pan Zebrzydowski wstąpił uprzejmie sam do Dubinek...« Tu w następny wyrazie pomyliło się pióro i dopiero po przekreśleniu kilku znaków ciągnęło dalej — »pytając się po mnie, jeślibych co przezeń ku w. k. m. swemu miłościwemu panu pisać miała. Ja iżem to od niego słyszała, radam to uczyniła, że ku w. k. m. przez p. Zebrzydowskiego, jako przez posła pewnego, to swe pisanie posęlam, którym w. k. m. swemu m. panu — od Pana Boga żądam długo *phortunnego*<sup>1)</sup> zdrowia, ku pociesze mojej, wiecznej, a najmniejszej słudze w. k. m. I przytem w tymże liście posyłam w. k. m. swemu m. panu« — znowu pomyłka w następny słowie »pierścionek« — a nad pierścionek kapnęła mała plamka inkaustu<sup>2)</sup> — »który pokornie proszę, aby w. k. m. mój m. pan raczył ode mnie, sługi swej, wdzięcznie a miłościwie przyjąć, a nosząc go przy sobie, raczył w miłościwej pamięci i w łasce mnie i służby moje zachować, jako pan a dobrodziej

<sup>1)</sup> Szczęśliwego, pomyślnego. <sup>2)</sup> Atramentu.



mój m.« — Tyle zmieściło się na pierwszej stronicie półarkusza. Po szczęśliwym przewróceniu go na drugą stronę, pisała ręka Barbary znowu od samej góry dalej. — »Aczem ja tego w. k. m. nie zasłużyła i nie znam się być tej godności, abym komu przyczyną swą u w. k. m. miała co pomagać, gdzie i sama jeszcze mało sobie służbami swemi zasłużyła łaski w. k. m., ale iże w. k. m. z łaski swej pańskiej raczył mnie sobie za najmniejszą służebnicę obrać, pokornie proszę, aby w. k. m. raczył być m. panem cnotliwemu słudze w. k. m. panu Zebrzydowskiemu, co ja w. k. m. zasługować będę modłami swemi ku Panu Bogu za *phortunne* zdrowie w. k. m. swego m. pana, które abych rychło zdrowego oglądała, daj to, Panie Boże«. — Niżej w pośrodku — »w. k. m.« — a u samego spodu, w prawym kącie arkusza — »najniższa sługa, a wieczna niewolnica B. R.«

Wkońcu złożyła pisząca cały arkusz w formę podłużną, i dawszy po wierzchu nadpis: »Jego k. m. memu m. panu w ręce — od królowej Barbary z »Dubinek« — zapieczętowała list sygnetem o herbie radziwiłłowskim, *Trzy trąby*.

Uradowany posyłką, Zebrzydowski nie miał, jak widzimy, ani w liście, ani ze słuchu wiele ważnych nowin do zawiezienia królowi. Nie ważniejsze też wiadomości nadchodziły wzajem od króla z Polski. Nie śmiąc odkryć przed czasem ślubów swoich obojgu rodzicom królewskim, zwierzył się August tylko dwóm najprzedniejszym senatorom, panu i księdzu krakowskiemu, Jánowi Tarnowskiemu, kasztelanowi, i Samuelowi Maciejowskiemu, bisku-

powi stolicy. Ci, nie chcąc zaburzać kraju niepotrzebnymi z tego powodu spory, okazali wprawdzie pobłażliwość związkowi królewskiemu, lecz nie więcej ze swojej strony zdziałać nie mogli. Jakoż całym skutkiem tej podróży młodego króla do Polski miało być jedynie pozyskanie kilku stronników w Małej i Wielkiej Polsce, które to wiadomości, nie dochodząc wcale miary życzeń radziwiłłowskich, padały nie nieznaczającą kroplą w morze tęsknoty i samotności dubińskiej.

Już kilka miesięcy tak spędzono. Tymczasem zima rozsrożyła się w całej sile. Z zimą przybywały obrońcom małżonki królewskiej nowe obawy i troski. Bo, jeśli już między powody jej zamieszkania w Dubinkach wchodziła także chęć zabezpieczenia osoby, tedy bezpieczeństwo to było mniejsze w zimie, niż w innej porze. Zamarżłe natenczas jezioro, główna obrona miejsca, otwierało wolny przystęp do zamku. »W lecie — pisze starosta merecki do Zygmunta Augusta — gdy ze wszystkich stron woda wokoło obejdzie, chyba jednego Boga bać się w Dubinkach, lecz w zimie...« W zimie należało podwoić baczność dookoła. I czuwano więc bacznie we dnie i w nocy. Pan podczas lit. z panem starostą mereckim obchodzili strażę u bram i narożników zamkowych, a piękna małżonka królewska siedziała w swej narożnej komnacie nad jeziorem u okna i wiodła okiem po okolicy, lecz nie z obawy nieprzyjaciół, a tylko, aby ujrzeć kogoś na gościńcu od Wilna, coby niósł wieści od króla.

Wtem, kiedy tylko zewnątrz przyjaznych



i nieprzyjaznych oczekiwano wypadków, zdarzyła się dziwna przygoda wewnątrz. Gdy jednego razu panowie podczaszy lit. i starosta merecki bawili u królowej, w owej narożnej komnacie nad jeziorem, zapadła się w ich oczach część podłogi. Można sobie wyobrazić przestach królowej. Uprawdzono ją na pół nieżywą do bezpieczniejszych stron zamku. Przy prędkim zbadaniu przyczyn tego wypadku przekonali się panowie podczaszy i starosta, iż w sklepie zamkowym pod komnatą, z ogromnie staroświeckich murów wzniesionym, pękło zdawna porysowane sklepienie. Ślady tych przyczyn wpadały tak jawnie w oczy, iż niepodobna było przypuszczać podejrzenia innych powodów, lub oskarżać w tym razie kogo innego, jak tylko własny niedozór. Na siebie samego przyjął pan podczaszy całą winę w dokładnym liście, wyprawionym natychmiast do króla w Polskę, aby prawdziwem doniesieniem wypadku ująć mu niepokojności z spodziewanych pogłosek mylnych.

Była tego wielka potrzeba. Do powiększenia bowiem wszelkich frasunków smutnego rozstania króla z kochanką, przyczyniała się jeszcze złośliwość języków ludzkich. Wzbudzona fortuna Radziwiłłówny zazdrość pobudzała je do różnego rodzaju niepomysłnych miłosnej parze głosów. Przy obecnem zamieszkaniu Barbary w Dubinkach, a Augusta w Piotrkowie, załatywały co chwila do Dubinek nieprzyjemne wieści o Piotrkowie, a do Piotrkowa przykre pogłoski o Dubinkach. I tak niedawno małżonka podskarbiego litewskiego, pani Janowa Hornostajowa, powzięła wiadomość, ja-

koby młody król, widząc niepodobieństwo potwierdzenia małżeństwa swego przez naród i rodzinę królewską, zaczął ostygąć w miłości ku Barbarze i innym świeżym znajomościom serce przychyłał. Z wielką skwapliwością od ucha do ucha podawana, doszła ta złośliwa nowinka aż do Dubinek i niemalej niespokojności nabawiła biedną Barbarę. Dopiero zwięzła odpowiedź uwiadomionego o tem Augusta, zdeptującego jednem słowem pogardy tę »plotkę« podskarbinsy, przyniosła ulgę niejaką. Podobnie i terazniejsza przygoda sklepu zamkowego w Dubinkach podać sposobność do mnogich plotek w Koronie. Jakiś pan Łaszcz, świeżo z Litwy do Piotrkowa przybyły, zatrwożył Augusta, a ubawił ciekawców szczegółowym opisem nieszczęsnych przygody dubińskiej skutków. Według niego miała małżonka królewska zasypaną być całą rumowiskiem i mianowicie na oczy uciepieć wielce od wapna. Pan podczaszy lit., który podówczas pił właśnie z Dowojną w onym sklepie zapadłym, złamał rękę i nogę, a starosta merecki tak srodze się przestraszył, że przez kilka dni miał zupełnie mowę odjętą.

Po szczęśliwem przebrzmieniu tak »pletliwych« pogłosek, powracała w Dubinkach dawna głucha samotność. Pobyt w tem warownem wygnaniu stawał się coraz przykrzejszym. Niecierpliwy starosta merecki nazywał go w listach do króla otwarciem »ciężkiem więzieniem«. Podczaszy Radziwiłł słodził sobie to więzienie myślą o koronie na głowie siostry i w rodowym drzewie domu radziwiłłowskiego. »Bych też więc i pokonał wiek ży-

355.



wola swego« — czytamy w jednym z jego ówczesnych listów do Zygmunta Augusta — »a na głowie małżonki w. k. m., a swej m. pani widział przedtem królewską koronę, nie żalby mi, zamknąwszy oczy, rzec onych słów: Teraz puszczasz sługę twego Panie, w pokoju«. — Jeszcze goręcej marzyła o koronie Barbara, patrząc ciągle ku Wilnu, a oczekując, »rychłoli ujrzy kogo, co by powiedział: owo król jedzie!«

I owo, jak wreszcie wszystkiego w życiu doczekamy się, tak też i królowa doczekała się dnia jednego, w którym nadszedł od Augusta list z doniesieniem, że w połowie lutego ujrzy go Wilno napowrót. I przybiegł po jakimś czasie nowy posłaniec, oznajmujący, jako król rzeczywiście stanął już w Wilnie. Ale oto nowy powód do smutku! Zamiast spodziewanego wezwania kochanki, aby zjechała do stolicy litewskiej, zamiast przybycia Augusta do Dubinek, nadszedł list królewski, zalecający Barbarze pozostać jeszcze tak długo w zamku dubińskim, aż nader ważne okoliczności pozwolą jej połączyć się z małżonkiem.

To przejęło Barbarę niewymowną boleścią. Skądże ta zwłoka? myślała. Miałyżby wieści o zobojetnieniu Augusta nie być zupełnie fałszywe? Podobne przypuszczenie nie mogło obejść się bez srogich płaczów i jęków. Żalosa niecierpliwość Barbary miała posunąć się nawet aż do ubliżenia królowi. Przynajmniej najbliżsi krewni napominali później Barbarę, aby lepiej strzegła łaski małżonka swego, niż to było w Dubinkach. Teraz pan podczaszy nie umiał sobie dać rady z siostrą. Zniewo-

lony jej gwałtownem naleganiem, a może i sam o sprawę własnego domu niespokojny, i osobiście w Wilnie o stanie rzeczy chcąc się przekonać, sprzeciwił się wyraźnemu rozkazowi Zygmunta, żądającego po nim pozostania przy królowej w Dubinkach, i pośpieszył z jej listem do stolicy. Ten niespokojny list maluje jawną trwogę Barbary.

»Ja, sługa waszej królewskiej mości najniższa, nigdy nie wątpiła w łasce w. k. m. swego miłościwego pana, którą nad wszystką godność i zaślugi swe od w. k. mości zawsze aż i po dziśczas znała; i dziś tedy nic w niej nie wątpiąc, ani żadne wątplenie mnie o łasce w. k. m. mego miłościwego pana k'temu nie przywiodło; tylko mię to niepomalu boli, iż ja, będąc tak bliżu boku w. k. m. nic nie słyszę o zdrowiu w. k. m. swego m. pana, strzegąc się tego, aby w. k. m., czego, Panie Boże, racz uchować, na ten czas jako na zdrowiu swem z tej pracy, a z drogi dalekiej i niepogodnej, nie używał przeciwnego szczęścia. A iż też sama na ono tak długo nie patrzę, acz mi jest niepomalu tęskno, wszakże nie moja, ale w. k. m. wola niech się we wszem ze mną dzieje. Tegom się wzdzierzeć nie mogła, ani chciała, abych zdrowia w. k. m. nie nawiedziła przez pewnego posła, którego na ten czas ku w. k. m. posyłam, sługę w. k. m. a brata swego, p. podczaszego, aby on zdrowie w. k. m. nawiedził i ono okiem swem oglądał, z zaleceniem służby mojej w łaskę w. k. m., a potem tegoż dnia aby mnie odkaz uczynił o zdrowiu w. k. m. mego m. pana, za to proszę... Łasce się w. k. m. swemu miłościwemu panu zalecam. B. R.«



Pan podczaszy znalazł Augusta niezmiennego dla Barbary, lecz nowymi obarczonego kłopoty. Nie prawie nie sprawiwszy w Koronie, zastał August w samejże Litwie niespodziewaną opozycję przeciw swemu związkowi. Zgromadzeni w Wilnie na powitanie króla panowie rada W. Księstwa, poduszczeni przez nieprzyjazne Radziwiłłom stronnictwo, przedłożyli Augustowi gorliwą prośbę o zaniechanie tego już wiadomego w kraju małżeństwa. Za niezadowolającą odpowiedź Augusta mszczono się ze strony przeciwników radziwiłłowskich powszechnem wyrzekaniem przeciw Barbarze, listowemi satyrami i mnóstwem paszkwilów<sup>1)</sup>, przylepianych do murów zamku, ratusza i dworów pańskich. Nie była więc pora drażnić rozkołysane umysły wystawnem okazywaniem Barbarze honorów i miłości. Pan podczaszy otrzymał rozkaz powrócić wskok do Dubinek i zapewnieniem niezachwianego przywiązania Augusta skłonić małżonkę królewską do cierpliwości.

Mogła jednak ta cierpliwość w długie ciągnąć się lata. Niewielce przeto pocieszył Barbarę powrót podczaszego, Mikołaja Rudego. Wiadomości od króla wymagały tak jednostajnie cierpliwego oczekiwania, że wreszcie ubyło im poniekąd uroku nowości i nadziei. Nowy dwumiesięczny pobyt w »więzieniu dubińskim«, dwumiesięczne przy 7-milowej tylko odległości niewidzenie się kochanków, nie zdołały ożywić sponęzionego umysłu oczekującej.

<sup>1)</sup> Pisma satyryczne, wymierzone wyraźnie przeciw osobie.

Wzięło nad nim górę najsmutniejsze z usposobień więziennych, moralne unuzenie, zobojętnienie pozorne. W takim stanie mieszkańców dubińskich nie sprawiło wielkiego wrażenia przybycie w połowę miesiąca kwietnia, we czwartek, do zamku dubińskiego dworzanina królewskiego z listem od Zygmunta Augusta. Atoli jakże niespodzianem wrażeniem uderzyła treść tego listu:

»Panie podczaszy. Jest wielka a gwałtowna potrzeba tego, o czym twoja miłość wiedzieć będziesz od nas potem, aby pewnie a koniecznie jej królewska mość, małżonka nasza najmiłsza, jutro przyjechała do Wilna na dobrą godzinę w noc, do dworu twojej miłości, pokryjomu, a ostatek tych rzeczy, których potrzeba królowej jejmości, niech w sobotę przywiozą. Tego największa potrzeba jest nam, *sic astra volunt* (tak losy chcą), aby jutro *certe, certissime*<sup>1)</sup> była w Wilnie. O wjechaniu na zamek, na to mamy sobotę: będziemy o tem gadać i wszystko się powie. Niech ta droga twojej miłości *molesta*<sup>2)</sup> nie będzie. Jeżeliby jakich koni trzeba było *in obviam* (naprzeciw), dawaj rano znać. Także nam zdaje się, oprócz pacholąt, aby który służebny *propter aliquod... accidens*<sup>3)</sup> jechał. Jedno aby jutro, *atque iterum*<sup>4)</sup>, aby jutro wyjechała. We czwartek 48. *Sigismundus Augustus Rex Pol.*<sup>5)</sup>

<sup>1)</sup> Pewno, najpewniej.

<sup>2)</sup> Uciążliwa.

<sup>3)</sup> Na wszelki wypadek.

<sup>4)</sup> Oraz powtórnie.

<sup>5)</sup> Zygmunt August, król polski.



A więc właściwym celem tego nagłego wezwania było wjechanie na zamek, przedstawienie Barbary całemu Wielkiemu Księstwu, jako małżonki księcia i króla! Skądże tak nieoczekiwany zwrot rzeczy? Pilnie wypytywany dworzanin nie odpowiedzieć nie umiał, upewniając, że ani w Wilnie, ani na dworze królewskim nic nowego i głośniego nie zaszło. List Zygmunta Augusta odkładał do późniejszej chwili objaśnienie. Wypadło zatem poskromić próżną chęć zbadania istoty rzeczy domysłami i przedsięwziąć śpieszne przygotowania do drogi. Skutkiem tego nader miłego trudu mogła wreszcie małżonka królewska opuścić nazajutrz rano nieszczęśliwe Dubinki. Po pięciomiesięcznem ukryciu w ich pustelniczych murach, uwiozła ją poszóstna kolebka tak znaną tęsknemu oku drogą ku Wilnu, drogą do tronu, przedewszystkiem zaś na wielko-książęcy zamek wileński.

### III. Na zamku niższym.

Tymczasem dwudniowy przeciąg od wyprawienia listu królewskiego zmienił postać rzeczy publicznych w Wilnie. Wielki ruch panował w stolicy litewskiej. Otaczający Zygmunta Augusta panowie, dwór królewski, ludność miejska, wszystko zajęte było świeżo nadeszłą wieścią z Krakowa. Stary król Zygmunt umarł. Doniósł o tem naprzód wysłany z Krakowa do młodego króla goniec sekretny. We cztery dni później przybył stamtąd Jan Przerębski, proboszcz katedry krakowskiej, niosący

urzędową wiadomość o śmierci starego, a nastąpieniu dawno już ukoronowanego króla młodego. Zabrzmiały wszystkie dzwony wileńskie, zajaśniały wszystkie kościoły światłem tysiąca jarzących świec, otaczających mary królewskie, przy żalosnem wśród głośnych modłów i pieni nabożeństwie. Objęcie rządów Korony przez Zygmunta Augusta zniewalało go oczywiście do rychłego odwiedzenia nowej stolicy krakowskiej. Blizki zaś wyjazd Augusta z Litwy ściągnął do Wilna tem większą ilość panów, mających pożegnać swego W. Księcia. W gwarnym tłumie tego liczego zebrania panów, tych brzmiałych jeszcze powszędy egzekwiów<sup>1)</sup> za duszę zmarłego króla, tych głośnych przygotowań do wyjazdu króla ze stolicy, a poruczenia rządów W. Księstwa krzątającej się około tego radzie magnatów — nie zwróciło na się uwagi ciche małżonki królewskiej przybycie i rozgoszczenie się w rodzinnym dworze radziwiłłowskim. Pozostała ona tam w ukryciu przez kilka następnych dni, aż do wtorku dnia 17 kwietnia roku pańskiego 1548.

W tym pamiętnym dniu zwołał Zygmunt August wszystkich bawiących w Wilnie panów i urzędników litewskich w przedpołudniowej godzinie na wielką radę w zamku. Mnogość spraw publicznych w tak ważnej chwili zaprzątnęła zgromadzonych w sali zamkowej aż do godziny pierwszej z południa, czyli, jak wówczas liczono, do dziewiętnastej godziny. Około tej pory dał się słyszeć w przedsionku szelest licznie wchodzących

<sup>1)</sup> Nabożeństwo żałobne.



osób. Zygmunt August przyjął go z widocznym zadowoleniem i, powstawszy z miejsca, ozwał się do zgromadzenia: »Co słuszne i nader ważne przyczyny zmuszały mię tać dotąd, to wszystko dziś wam odkrywam. Barbara Radziwiłłówna, wojewodzina trocka, jest moją żoną, oddaną mi w małżeństwo obrządkiem chrześcijańskim, w obliczu krewnych... Wiecie, iż związku takiego, prawnie pomiędzy chrześcijanami zawartego, żadna w świecie moc zerwać nie może«.

Poczem zbliżył się ku podwojom sali i otworzył je. W przedsionku widać było Barbarę w świetnym stroju królewskim, w towarzystwie braci i liczne go orszaku pań i kilku panów rady W. Ks., wysłanych przez króla do dworu radziwiłłowskiego, aby sprowadzili na zamek żonę królewską.

Wskazując zdumionym panom piękną Barbarę, oznajmił Zygmunt żądanie, aby odtąd, »gdy ją za wolą Bożą, z przedniejszego domu w Litwie i znacznego ojca zrodzoną, pojął sobie za żonę, oddawano jej cześć, jako królowej i pani«. To powiedziawszy, wziął król Barbarę, jako uznaną już małżonkę swoją, za rękę i zaprowadził ją z całym dworem do wewnętrznych komnat zamku, przeznaczonych na jej mieszkanie. Nastąpiło natychmiast zamianowanie głównych urzędników dworu królowej. Stanisław Maciejowski, brat przychylnego małżeństwu królewskiemu biskupa krakowskiego, kasztelan lubelski, otrzymał urząd ochmistrza, Jan Tarło podczaszego królowej. Wreszcie pozostał przy niej aż do wyjazdu jej z Litwy pan starosta merecki, Stanisław Dowojna, mający

poność głównie nad zdrowiem królowej pieczę, a wkrótce potem godnością wojewody połockiego za swoje usługi wynagrodzony. Uroczysta uczta stolowa zakończyła tę pamiętną w życiu Barbary scenę, będącą pierwszym z wielu jeszcze dalszych kroków do tronu.

Widok upragnionej korony znacznie się wprawdzie przybliżył, lecz jakże drogo był okupiony nowem cierpieniem serca! Wypadło mu powtórnie zboleć pożegnaniem. Już w dziesięć dni po zamieszkaniu królowej na zamku niższym musiał August opuszczać znowu Barbarę i spieszyć do Krakowa. Poranek 28 kwietnia, poranek wyjazdu Augusta z Wilna, wznowił mało co milszą teraz samotność oblubienicy królewskiej. Z siedmiu miesięcy jej małżeńskiego związku z głową koronną rozpoczynał się teraz szósty miesiąc rozstania i opuszczenia. Nie przyszło nigdy pożałować Barbarze, że August królem? Nie zdarzyło się jej pozazdrościć losu ubogim, ale nieprzerwanie sobą samymi uszczęśliwionym kochankom?

Barbara uśmiechnęłaby się na to zapytanie czułościowe. Któż z nas doznał uroku korony, aby miał prawo wyrzekać na jej przykrości? Z każdego wyższego szczebla w drabinie życia, w tej Jakóbowej drabinie z ziemi w niebiosa, otwiera się nowy widnokrąg uciech i cierpień, a osobliwie nieznanym niższym stopniom życzeń i żądz. Rozkosze i żądze tych niższych stopni nikną tam we mgle lekceważenia; jakieś nowe żądania zajmują wszystko serce; rzecz, która na pewnem niższym stanowisku życia taką, a nie inną ma barwę, podnie-



siona na wyższe, wcale odmienny przybiera widok; a miłość naszej Barbary, utęskniającej do korony, porównana z miłością kochanków sielankowych, prawie wszelki pozór miłości traci. Najmilsze marzenie pospolitych kochanków, ciągle, nieprzerwane pożycie z sobą, ustąpiło w romansie Barbary konieczności ciągłego prawie rozstania; tak pożądane rojeniom pospolitych kochanków zespolenie wszelkich uczuć i myśli, zlanie dusz swoich w nierozróżnioną jedność, musiało w romansie Radziwiłłówny zamienić się w pokorny stosunek sługi do pana, przyczepiający do każdego miłosnego słówka kochanki kamienną wagę nieodzownej formuły: »w. k. m., mój miłościwy pan«. Przy takim zaś podupadnięciu uczuciowych przyjemności stosunku, przy takim rozstrojeniu struny sentymentalnej, szukało serce aż nazbyt chętnie, aż nazbyt bez żalu, koniecznej wynagrody w tem jaskrawszem podniesieniu towarzyskich przyjemności związku z monarchą, w tem żywszem dźwięku struny dumy koronnej.

Znosząc tedy wyrozumiale przykrość rozłączenia z Augustem, cieszyła się Barbara nadzieją rychłego zawezwania jej przez małżonka do Polski, na zamek krakowski, w te błogie miejsca, które mogły przyozdobić skroń jej koronę. Tymczasem miał niższy zamek wileński zadowolnić rozbudzoną chęć panowania. Liczny i świetny dwór otaczał tam małżonkę Augustową. Najdostojniejsze panie księstwa oddały jej czołobitnię litewską. Zwłaszcza od młodych, niespoufalonych długiem pożyciem z byłą kasztelanką wileńską i wojewo-

dziną trocką, doznawała nowa W. Księżna litewska wszelkiej powinnej czci. Ale temci trudniejsza sprawa była z paniami staremi. Te, znając Barbarę od lat dziecięcych, przyzwyczajone odbierać od niej oznaki uszanowania, harde i pretensjonalne swoją starością, wymagały od niej dla wieku swego większej atencji<sup>1)</sup>, niż były gotowe okazać same dla królewskiej dostojności Barbary. Rozkoszujący teraz w ceremonialnych przyjemnościach umysł pięknej Radziwiłłówny, czuł się tem niewymownie srogo dotkniętym. Niedosć nizkie ukłony, a zapewne i cierpkie słówka niektórych matron doszły w żalosnych doniesieniach aż do uszu króla w Krakowie. Ku niewielkiemu pocieszeniu Barbary, nie umiał mądry Zygmunt August znaleźć innego na to środka, jak tylko cokolwiek cierpliwości. »Co się tyczy tamtych pań starych« — pisze król do Radziwiłła Rudego, będącego ciągle głównym opiekunem siostry, a powiernikiem królewskim — »tedy już się tak ścierpieć musi do naszego z wami ujżenia. Widzimy pewnie, że się tym paniom starym żadna przyczyna nie dała, ale jednak nie godzi się, jedno im folgować, snąć dla dzisiejszego czasu, którego ludzie wszystko w gorsze obracać są »zwykli«.

Tak spokojne znoszenie bolesnego ubliżania małżonce więcej zapewne niechęciło Barbarę, niż ją cieszyły inne tego listu słowa królewskie, pełne najmiłośniejszej zaprawdę troskliwości o zdrowie, o bezpieczeństwo Barbary. Dowiedziawszy się, że

<sup>1)</sup> Uszanowania.



królowa w święta w katedralnym kościele św. Stanisława mszy słuchiwała, zaniepokoił się Zygmunt, ponieważ teraz w tym kościele murują. »Nuż cegła spadnie, albo ją też kto rzuci na królową, zawsze obawa niebezpieczeństwa być może« — pisał król do podczaszego w tym samym liście. Byłoby więc lepiej, gdyby jej k. m. u św. Anny na mszy bywała. Albo jeśliby już koniecznie w katedrze mszy słuchać przyszło, należy wierzch umożliwić. Innym razem każe król w liście do podczaszego baczyć mu na to, aby »jejmość tak długo w łaźni się nie myła, gdyż to jejmość po sobie baczy, że to jejmości zdrowiu szkodzi«. Zwyczajnie uprasza król troskliwie w listach swoich, aby królowa nie wierzyła nie miłym wieściom, jakie mylnie z Korony do Litwy zalatują, nie frasowała się fałszywemi pogłoskami o napotykanym przez Augusta przeszkodach do uprawnienia ślubów małżeńskich. »Albowiem za takowymi frasunkami można się w niemałe zdrowia swego naruszenie przypisać, a nam stąd żal ciężki przynieść«. Takież idylliczne dowody swojej pamięci miłosnej dawał król co chwila w każdym liście Barbarze. On w romansie z nią nie podniósł się, lecz zniżył o jeden szczebel w drabinie życia. Stąd kiedy ona, w blasku ceremoniałów rozmówiona, staje się niejako mniej rozumiała zwykłym pojęciom romansowym, drobniutko czuły August zbliża się ku niej swoją czułością, gotów jest przestać być królem dla swej Barbary. On to prawie sam jeden opędza wszelki koszt serca w tym romansowym stosunku. Barbara przeciwnie, zasługiwała sobie swoim postępowa-

niem na surowe od najżyczliwszych i najbliższych bratanków upomnienie, aby na przyszłość »inak głowę i nogi schylała przed królem, niżli teraz bywało, by potem Bóg nie skarał za niewdzięczność takiego dobrodziejstwa, że z prochu wznosi ją na majestat...«

Napomnienia te nie zdały się potrzebne. Serca Augustowego była Barbara już teraz aż nazbyt pewną. Coraz prawdopodobniejsza nadzieja koronacy i berła rozkwitała tak bujnie przed płonąca wyobraźnią, że niepodobna było powstrzymać dumę pomimowolną, aby nie chciała zrywać przedwcześnie ponętnych kwiatów królewskiego znaczenia. Od czasu szczęśliwych przenosin na zamek niższy rozpromieniło się widocznie zdrowie i oblicze Barbary. Owe »stare panie« i »pletliwe« wieści z Korony rzucały wprawdzie nieprzyjemny czasem cień na nie, ale potrzeba było tylko przyspieszenia oczekiwanego kiedyś przyjazdu Barbary z Litwy do Polski, z wielkoksiążęcego zamku niższego na królewski zamek krakowski, aby słońce dumy niewieściej jeszcze szerzej jaśniało. Wreszcie po pięciu miesiącach powtórnego rozstania zbliżyła się pożądana pora tego przyjazdu.

Nadchodzące z Litwy wiadomości owych drobnych frasunków koił August nieraz wzmianką o swoim życzeniu sprowadzenia żony do Polski. Dla umocowania go w tej chęci nie omieszkali radziwiłłowscy korespondenci i korespondentki Augusta ucieszyć go doniesieniem, że sama nadzieja tej podróży »przymnaża niepomału zdrowia i dobrej myśli« Barbarze. Staranny o delikatne jej



zdrowie, August nie mógł nie użyć dalej tak pomyslnego lekarstwa. Wkrótce po onej wzmiance przybył obszerny list królewski, polecający podczasemu lit. przywieźć siostrę niezwłocznie do Korony, w szczególności do miasta Radomia, gdzie Zygmunt miał czekać przybywającej. Zarazem wydane zostały rozporządzenia koniuszemu królewskiemu i panu staroście mereckiemu, Dowojnie, mającym dostarczać kolas i koni do tej drogi, jakoteż wszystkim miejscom noclegowym, aby gotowały stacye dla przyjazdu królowej.

Powolna zwykle w ruchach Barbara, nie ociągała się ponoś z przygotowaniami do tej podróży. Bądź jak bądź, była to zawsze coraz bliższa droga do tronu. Dotychczasowymi krokami swymi w Polsce przekonał August jedynie matkę i panów polskich o swojej niezłomnej stałości dla Barbary. Matka i rodzina nie mogli mu już otwarcie jakiegokolwiek stawiać zawady; aby zaś i naród nie miał sposobności wszczynać sporu w tej mierze, postanowił August odłożyć sejm »na czas dłuższy« i nie zwoływać go, aż to jego małżeńskiej sprawie będzie dogodnie. Tymczasem miała królowa, jakby nic nie było, zjechać do Polski, i przyzwyczajwszy oczy i serca ludzkie do swego widoku, zbliżyć się nieznacznie do korony.

#### IV. Droga do korony.

Wyjazd Barbary z Wilna wypadł w pierwszej połowie września r. 1548, w rok po tajemnem za-

ślubieniu z Augustem. Ten sam początek jesieni, którego liście zwiędłe wyścielały młodemu królowi w roku zeszyłym drogę na oną schadzkę ślubną, zęgnął dziś temże liściem Barbarę z Litwą rodzinną. W radości z upragnionej podróży nie przeczuwała zapewne piękna podróżna, że to pożegnanie było ostatniem...

Liczny dwór towarzyszył Barbarze. Przewodniczyli mu ochmistrz dworu, Stanisław Maciejowski, kasztelan lubelski, i brat królowej Mikołaj, podczaszy W. litewski. Droga szła na Grodno, Bielsk i Podlasie. W Łoszycach, pierwszym miasteczku korony polskiej, powitał królową orszak dworski, z dwustu koni złożony, pod przewodnictwem pana Floryana Zebrzydowskiego, ku służbie jej król. mości od małżonka przysłany. Przed dalszem miastem polkiem Łukowem odbyło się uroczyste powitanie królowej przez panów rad koronnych, mianowicie przez pp. wojewodów: ruskiego, inowrocławskiego, lubelskiego, przez kasztelana radomskiego, i mówcę całego zgromadzenia, ks. biskupa płockiego. Było też wiele pań przy tem witaniu, w szczególności księżna mazowiecka, Anna Odrowążowa z córką, panie wojewodziny ruska i podolska, pani kasztelanowa sądecka, a przy nich mnogo innych matron i panien. Ci wszyscy panowie i panie jechali z królową aż do Radomia. Tam, na ćwierć mili przed miastem, spotkał król Zygmunt przybywającą małżonkę. Pan podczaszy litewski opisuje tę ceremonię w liście do matki, pani kasztelanowej wileńskiej, w następujący sposób:

»Na polu stał jego królewska mość po pra-



wej ręce, jakoby dwadzieścia sążni od drogi. Tam było posłano od króla aż do drogi po ziemi czarne lionńskie sukno. Królowej kolebka aż do sukna przyszła. Tuże królowa wysiadła i szła do króla, a król do niej. Tu prawie w połowicy onego sukna się przywitali. Podkanclerzy od króla powitał królową jejmość dosyć pocziwie, ale pan lubelski uczynił od królowej ku królowi rzecz tak pocziwą, poważną i pokorną, iż się wszem ludziom podobało, a wszędy tem alegował<sup>1)</sup>: jejmość królowa, moja miłościwa pani, wiecznie poddana służebniczka i małżonka w. k. m. swego miłościwego pana. Temże się to najwięcej ludziom podobało, iż pokornie było. W Radomiu tegoż dnia panowie litewscy wszyscy i polscy, którzy z jej król. mością przyjechali, z koni zsiadłszy, prosto szli do stołu jego k. m. jeść. Skoro po obiedzie, wnet od stołu wstawszy, jego k. m. szedł na górę do jej k. m. i był tam jego k. m. z godzinę. Tam jest izba wielka, było w niej tak wiele ludzi, iż na krużgankach niektórzy stali, patrząc, a dziwiąc się temu stadłu panów naszych. A niektórzy błogosławili; niektórzy mówili: wierząc, już wiekuiście ją pojął; drudzy szemrali to i owo. A tak być musi między ludźmi, by się też co najlepszego stało, tedy się nie wszystkim może podobać... Otóż chwała Bogu, pana Hlebowiczowe proroctwo się nie pełni. On powiadał, że mnie w Polsce miano obwiesić, a królową na Wiśle utopić. Otóż królowa z mężem popołu, a mnie za łaską Bożą ludzie tu i radzi wi-

<sup>1)</sup> Przytaczał, powtarzał.

dzą i cześcią ważą. Co dalej z nami będzie, Panu Bogu to poruczam...«

Jakoż potrzeba było w rzeczy pomocy Boskiej. Bo jeszcze nie przyszedł czas tryumfować. Teraz właśnie przygotowywał się najboleśniejszy cios, zbliżała się próba najsroższa. Wbrew swoim zamysłom niezwoływania sejmu przez czas dłuższy, musiał Zygmunt August złożyć go już w kilka tygodni po przybyciu Barbary, z końcem miesiąca października. Wiedziano powszechnie, że główną jego sprawą będzie małżeństwo królewskie. Przeciwnie mu po większej części usposobienie szlachty koronnej nie wróżyło zbyt pomyślnego sukcesu<sup>1)</sup> sprawie. Niepomyślność zaś pozostawiała tylko smutny wybór między Barbarą a koroną. Jakże da Bóg przejść tej chmurze nad kochankami?

W tak zagrożonem położeniu, nie zda się, aby krótki przeciąg nowego połączenia młodych małżonków płynął im w nader spokojnej zażyłości. Nadto zasmucały ich co chwila wieści o nowych pismach potwarczych, tak zwanych paskwilusach, wymierzonych przeciwko małżeństwu królewskiemu, które przez te oszczerstwa i przycinki coraz niepomyślniej w uszach gminu osławiało się. Wreszcie już po trzech tygodniach przyszło biednej parze miłosnej rozstawać się na nowo. Związek Barbary z Zygmuntem zniewalał ją dotąd do ciągłego żegnania się z nim. Obecnie odjechał król o mil kilkanaście, do Piotrkowa, na cały przeciąg zgroma-

<sup>1)</sup> Powodzenia.



dzającego się tam sejm. Barbara pozostała w Radomiu.

Była to nader przykra stacya w jej drodze do korony, w drodze na zamek krakowski. Owszem, w całym życiu Barbary nie było zapewne tak niespokojnej pory, jak dwa miesiące tego groźnego sejm. w Piotrkowie. Każda jego obrada, każdy zuchwalszy głos, mogły zerwać tę wątłą nitkę, jaka według wyobrażeń całego prawie narodu tylko pozornie i chwilowo królewskie spajała stadło. Przy tak burzliwem niebie należało mieć wiadomość o sprawach każdego dnia. Nadzwyczaj też gęste listy krążyły między Piotrkowem a Radomiem. Listowa niecierpliwość Barbary, jej lada pogłoską do najwyższego stopnia rozdrażniana niespokojność, na co jeszcze w Dubinkach i w Wilnie użalać się musiano, stały się teraz nieznośną uciążliwością dla wszystkich, którzy, jak król, jak bawiący przy nim w Piotrkowie brat stryjeczny Barbary, Mikołaj Czarny Radziwiłł, marszałek w. lit., mieli jej donosić o wypadkach sejmowych. Dochodzące ją z Piotrkowa wiadomości były treści następującej:

Pierwsze dni sejm. od 1 do 5 listopada 1548 roku, minęły bez jawnej rozprawy o małżeństwie królewskiem. Dopiero 6 listopada, w poniedziałek, na wspólnem zgromadzeniu senatu i posłów, mającem po zwyczaju uradzić, czegooby należało żądać od króla, wybrani przez posłów trzej mówcowie, osobliwie zaś jeden z nich, Lupa Podlowski, uderzyli w żarliwej mowie na małżeństwo królewskie, wzywając senat, aby wraz z izbą poselską zniewolił króla do zerwania ślubów po-

katnych. Zdanie to było opinią całej prawie izby poselskiej, całej szlachty, całej (dzisiejszym wyrazem mówiąc) demokratycznej połowy sejm. Lękała się bowiem podejrzliwa szlachta, aby poswatanie się króla z jedną z najmożniejszych rodzin królestwa, podporą wszelkich możnowładczych zamiarów w całym narodzie, nie przeważało szali swobód na stronę możnowładztwa, z uszczerbkiem równości braterskiej. Stąd przeciwnie panowie, senat w ogólności pobbłżali sprawie małżeńskiej. Ile zaś podpory znajdował król w senacie, tyle z drugiej strony podniety udzielała opozycji<sup>1)</sup> poselskiej osobista ku Barbarze niechęć królowej Bony i ambicya wojewody krakowskiego, Piotra Kmity, szukającego sobie faworu i potężnych pleców u szlachty. Na wszelki wypadek gwałtowne miało być starcie... Nazajutrz, we wtorek, słuchał król osobście onych żądań sejmowych. Naprzód mówili senatorowie, potem izba poselska. Wszyscy dotyczyli już otwarcie kwestyi małżeńskiej. Prawie wszyscy ganili śluby królewskie. Senatorowie przypuszczali wprowadzić możność załatwienia sprawy z obopólnem zadowoleniem, lecz tem gwałtowniej oświadczyli się posłowie przeciw związkowi. Przemówił w tym duchu najwymowniej poseł ruski, Boratyński. Pod koniec jego mowy, przechodzącej w ton prośby, rzucili się wszyscy posłowie na kolana, błagając króla ze łzami, aby usłuchał życzeń narodu. Wzruszony tem król, powstał z miejsca, odkrył głowę i oznajmił, że aby z tym głębszym namysłem

<sup>1)</sup> Stronie odpornej.



i postanowieniem mógł odpowiedzieć, odkłada rzecz na jutro.

Dnia następnego dał król spokojną, lecz stanowczą odpowiedź, jako nie może złamać wiary małżonce; łącząc przytem zapewnienie, iż zresztą we wszystkim będzie się powodował wolą i życzeniami narodu. Co wyrzekłszy, wyszedł król z sali.

Senatorowie, przychylni w duszy ślubom królewskim, opierający się im tylko gwoli zgody z izbą poselską, chwiali się w zdaniu. Poduszczyły ich więc tak silnie nowe namowy posłów, nowe zabiegi Kmita, nowe podszepty stronników Bony, że już w kilka dni stanęła powszechna uchwała ponowienia próśb o zaniechanie ślubów z Barbarą. Zgromadziły się w tym celu obiedwie izby dnia 14 listopada na uroczyste w obecności królewskiej posiedzenie. Był to, jak dziejopisowie tych zdarzeń mówią, dzień największej próby w życiu Augusta. Pierwszy głos zabrał marszałek izby poselskiej, prosząc króla o pozwolenie powtórnego dotknięcia sprawy, w której król wyrzekł już raz wolę swoją. Gdy Zygmunt August zezwolił, ozwał się w imieniu wszystkich panów rad i rycerstwa Jędrzej grabia z Górki, kasztelan i starosta poznański. Długa i ważna jego mowa powtórzyła wszelkie dotychczasowe argumenta przeciw małżeństwu królewskiemu. Gdy mówca skończył, niezachwiany niczem król dał znowu długą, spokojną, lecz stanowczą jak wprzód odpowiedź, odpowiedź wiecznego dochowania wiary małżonce. Nie zawarła ona przecież rozprawy. Korzystając z jawnego niezadowolenia rycerstwa, podniósł się Kmita do odpowiedzi

na odpowiedź królewską. Ta śmiałość, wraz z zuchwałością wyrazów mowy, zniecierpliwiła tak wielce króla, iż przerwał mowę i nakazał milczenie Kmicie. Teraz całe zgromadzenie ujęło się gwałtem za obrażoną w Kmicie wolnością mówienia. Powszechnie z tego powodu obruszenie wynurzył w zabranym głosie Rafał Leszczyński, wojewoda brzeski. Król, szanujący prawa każdego, wymówił się z niecierpliwego przerwania głosu Kmicie, a co do głównej kwestyi małżeńskiej rzekł stanowczo i ostatecznie: »Co się stało, to się odstać nie może; a waszmościom przystało nie o to prosić, abym żonie wiarę złamał, ale raczej o to, iżbych ją każdemu człowiekowi dochował. Przysięgłem żonie i nie odstąpię jej, póki mnie Pan Bóg na świecie zachowa. Milsza zaś mi jest wiara moja, niż wszystkie królestwa na świecie«. Poczem głęboko rozżalony opuścił król posiedzenie.

Wszczęło się teraz niezmierne zamieszanie w zgromadzeniu. Rozgrzani namiętnością przewodcy stronnictw radzili głośno nie ustawać w oporze, aż póki albo do dobrowolnego rozvodu albo do unieważnienia nieprawnych ślubów nie przyjdzie. Wtedy Jan Tęczyński, wojewoda sandomierski, w zapamiętałem uniesieniu zawołał, że wołałby samego Solimana widzieć na zamku krakowskim, niż Barbarę królową polską. Gnieźniński zaś arcybiskup, Mikołaj Dzierzgowski, gorliwy Wielkopolań, przyrzekał grzech Zygmunta Augusta, popełniony porzuceniem Barbary, rozłożyć nieszkodliwie na wszystkie głowy królestwa. Do tegoż zdania



przychylił się biskup przemyski, Dziaduski. Wszystko wrzało żądaniem rozvodu królewskiego.

Do praktycznego przecież przywiedzenia tej chęci w wykonanie nie zdarzał się inny środek, jak tylko zaniechanie wszelkich dalszych spraw na tymże samym sejmie, tj. zerwanie sejmku. Do tegoż mierzyli posłowie piotrkowscy. Nadzieją ich było, że po zerwaniu obrad teraźniejszych, stanie wkrótce sejm inny, na którym żądania narodu »w zupełną wejdą egzekucję<sup>1)</sup>«. W tej myśli Jan Sierakowski, marszałek koła rycerskiego, pożegnał króla w pierwszych dniach grudnia imieniem izby poselskiej, oświadczając, iż z powodu niezalatwienia kwestyi małżeńskiej niepodobna radzić o dalszych sprawach. Tymczasem zależało na tem, aby przeszkodzić królowi zwykle pod koniec sejmów odbywanie sądów publicznych. Jak one jawną oznaką prawnego pełnienia funkcji królewskich były, tak też głośnie nieuznanie prawności onych miało tem dobitniej królewską zachwiać powagę. Dla okazania swojej nienaruszonej obecnyimi sporami władzy, jął się król z nadzwyczajną gorliwością sądenia spraw bieżących, i większa część stron poddawała się w milczeniu jego wyrokom. Alić nie obeszło się bez zadania królowi bolesnego ciosu i na tem polu. Stanisław Mateusz ze Żmigroda Stadnicki, przeciwnik ślubów królewskich, możny skoligaceniem z najmożniejszymi rodzinami, mianowicie z rodem Zborowskich, uchylił się w Lelowie

<sup>1)</sup> Wykonanie.

od sądów prawną ekscypcyą<sup>1)</sup>, jakoby władza królewska dotąd przez stan rycerski utwierdzenia jeszcze nie uzyskała. Obwoływał on głośno, że niemasz króla w Polsce, a jego niebezpieczny przykład, jego związki rodzinne, w połączeniu z machinacyami królowej Bony i rozdrażnieniem szlachty, zatrzęsły gwałtownie nieustaloną jeszcze powagą króla. Rozchwiewały ją do reszty pociski pisemne, miotane przeciw królowi przez burzliwe a uzdolnione umysły, jak w szczególności sławnego Stanisława Orzechowskiego, uderzającego raz po raz namiętnemi broszurami w sprawę zaślubin królewskich. Rozhukany tem wszystkiem tłum szlachecki, pozwalał sobie nie znać króla w Koronie, odzywał się wgłos za bezkrólewem. Któż był w stanie przewidzieć, co przyszedł sejm przyniesie?

Położenie króla było tak zatrważające, że sam Zygmunt August skłaniał się do uśmierzenia burzy zrzeczeniem się części żądanych dla Barbary zaszczytów, zrzeczeniem się koronacyi, a zaprzestaniem na samem uznaniu ślubów. Pisał król w tej mierze do brata Barbary, podczaszego lit., pytając go o radę. Atoli Radziwiłłowie i Barbara, jak już raz nadmieniono, woleli samegoż Augusta narazić na utratę korony, niż zrzec się jej dla siebie. Bardzo dokładna odpowiedź podczaszego zaklinała króla, aby porzucił myśl tak złowrogą. Augustowi, żyjącemu teraz jedynie dla spełnienia życzeń Barbary, dość było usłyszeć, że upadek nadziei koronacyjnej zasmuca ukochaną małżonkę, może smut-

<sup>1)</sup> Wyjątkiem, wymówką.



kiem swoim podkopywa jej zdrowie. Odpisał więc podczaszemu, że »co się dotyczy koronacyi, tedy tak czynić będziemy, jako nam jegomość piszesz« — i po dawnemu swoją cierpliwą, rozsądną wytrwałością sterował przeciwko burzy. Aby zaś przy każdej sposobności uzyskać jakąś korzyść nad swymi nieprzyjaciółmi, uczynić jeden krok dalszy do celu, postanowił August zbliżyć Barbarę przed wszelkimi wypadłościami sejmu przyszłego ku miejscu koronacyi, osadzić ją na królewskim zamku w Krakowie. W tym celu, po trzechmiesięcznym pobycie w zamku radomskim, posunęła się królowa pod koniec sejmu ku stolicy krakowskiej, przenosząc się na mieszkanie do Nowego Miasta Korczyna. W kilka tygodni po postąpieniu tej ciągłej do korony podróży o jedną dalszą staj naprzód, w więcej niż trzy miesiące po trzeciem w ciągu jednego roku rozstaniu się z swoją miłością, dnia 9 lutego 1549 r., znowu małżonkowie królewscy połączyli się z sobą w Korczynie. Zakończywszy nadmiar gorliwie odprawowane sądy w Piotrkowie, zjechał August z wielą życzliwymi sobie panami do Nowego Miasta Korczyna, aby stamtąd co prędzej przewieźć królowę do Krakowa, na zamek.

Odbył się ten solenny wjazd na stolicę w kilka dni po przybyciu króla do Korczyna, we środę, dnia 13 lutego. Wiedząc o intencji królewskiej, zajęchali królowi drogę w Korczynie ksiądz biskup krak. Samuel Maciejowski i kasztelan krakowski Jan Tarnowski. Przy królu byli biskup chełmiński, Jan Drohojowski, wojewodowie bełski i kaliski, Starzechowski i Zborowski; kasztelanowie sędo-

mierski, wiślicki i wojnicki. W drodze z Korczyna do Krakowa, w Proszowicach, spotkali króla jeszcze wojewoda sieradzki, Stanisław Laski, kasztelanowie sandecki i połoniecki, wszyscy z licznymi dwory. Z pań koronnych, oprócz tych, które królowej towarzyszyły w Radomiu i Nowem Mieście, jechały teraz za królową pani kasztelanowa krakowska stara, Krzysztofowa Szydłowiecka, kasztelanowe sandeckie, dawna i teraźniejsza, Rzemieńska i Kościelecka, kasztelanowa Małogoska, pani marszałkowska Tęczyńska i mnogo innych. Z tymi wszystkimi pany i pañmi wjechali oboje królestwo z wielką okazałością, acz w słotny dzień zimowy, wśród bicia dzwonów i nieskończonych ceremonii powitalnych, w mury krakowskie. Przed miastem przyjmowali króla i królową Kleparzanie, Kazimierzanie <sup>1)</sup> i panowie rajcy krakowscy. Przy wjeździe do miasta szli naprzód pacholiki dworu królewskiego i dworów pańskich. Za nimi sunął rój świetnie ustrojonych dworzan królewskich i pańskich. Za dworzanami, w kole najdosłojniejszych panów postępował król młody. Dopiero za nim widziano królową, otoczoną z dala orszakiem swoich dworzan i dwoma szeregami drabantów <sup>2)</sup>, a tuż przy boku gronem wszystkich zebranych pań. Wszedłszy na górę zamkową, zostali królestwo powitani w kościele od kanoników krakowskich, pomiędzy którymi było trzech opatów. Opat mogiński dał ku pocałowaniu naprzód królowi, potem królowej

<sup>1)</sup> Mieszkańcy przedmieść Kleparz i Kazimierz.

<sup>2)</sup> Żołnierze przyboczni króla.



drzewo krzyża Pańskiego, kapituła przyjmowała króla łacińskim, a królową polskim językiem, na co od króla biskup krakowski łacińską, a ochmistrz dworu królowej polską czynił odpowiedź. Zaczem radośnym chórem tysiąca głosów z organy zabrzmiało w kościele solenne *Te Deum laudamus*<sup>1)</sup>. Po nabożeństwie wszedł król z królową na zamek. Królowa zajęła mieszkanie w tych komnatach, kędy przebywały zwykle królowe; król w drugich, na przeciw, niżej.

### V. Na zamku krakowskim.

Osiągnęły więc życzenia Barbary bardzo blizki ostatecznego zamysłu stopień. Wśród ciągłego smucenia i utęskniania przebyła oblubienica królewska w tym pierwszym roku swojej miłości cięgniową drogę z »więzienia dubińskiego« na zamek wielkksiążęcy, z zamku niższego na ziemię koronną, z granic ziemi koronnej na zamek królewski. Niewymowną też radością przejmowała ta ostatnia meta podróży. Zaledwie z przybyciem króla do Korczyna pewną stało się rzeczą, iż nazajutrz wyruszą królestwo do Krakowa, zaraz pośpieszyła uszczęśliwiona Barbara donieść tę błogą wieść własnoręcznym listem do Litwy, bratu Mikołajowi Rudemu, który pod ten czas opuścić musiał królową. Rozgoszczenie się na zamku krakowskim wita ochmistrz dworu Barbary, kasztelan lubelski Maciejowski, w liście do podczaszego lit., głębokiem

<sup>1)</sup> Ciebie, Boże, chwalimy.

wynurzeniem wesela: »Oto odetchnęła już dusza moja, gdyżeśmy do tego przecie dopłynęli, z czego już widzę, iż wszyscy ludzie więcej uciechy biorą, aniżeliśmy się nadziewali«. A w drugim liście, donosząc, jak ten i ów, którzy niedawno małżeństwu królewskiemu bluźnili, teraz na widok niezłomnej stałości króla miękną w swoim oporze i »zabiegają znów łasce pańskiej i radziby nazad, by jeno mogli, nawrócić«, pisze uradowany ochmistrz bratu królowej: »zapewne, żem już i sam odświeżał i prawie odmłódl, widząc i słysząc, ku jakiemu się końcu wyjaśniają rzeczy jego k. m. I mam, da-li Pan Bóg, też zupełną nadzieję, że się one nasze smutki i nowomiejskie wzdychania w radość a wesele wrychle przemienić muszą«. Tak żywa uciecha ochmistrza dworu pozwala nam brać miarę o radości Barbary na zamku krakowskim.

I były wszelkie powody do uciechy. Osadzenie małżonki w stołecznym pałacu królów, najjawniejszy dowód nieczem niezachwianej wytrwałości Augusta, uderzyło umysły urokiem czynu dokonanego. Brak realnych pobudek do oporu przeciw Barbarze nadał temuż czynowi jeszcze większego znaczenia. Jedno i drugie wywołało tem żywszą grę trzeciej sprężyny umysłowej, grę tak żywej u nas w każdym wieku, żyłki zmienności. Współdziałaniu tych czynników moralnych dopomagały nadto coraz nowe wiadomości, sprawiające bardzo pomyślne dla sprawy małżeństwa królewskiego wrażenie. Jedną z takich była wiadomość nowego dowodu stałości króla. W dziesięć tygodni po zamieszkaniu Barbary na zamku uświęcił Zyg-

Księgozbiór:

№ 335.



munt August swój związek małżeński uroczystym aktem »oprawy« dla królowej, publicznie z rozkazu króla ogłoszonym w stolicy, a nadającym Barbarze dożywotnie rozległe dobra i posiadłości z zamkiem kowieńskim i wielą innemi miastami i dworami w Litwie i na Żmudzi, z wszystkimi płynącymi z nich dochodami i bogactwy. Druga wiadomość oznajmiała krajowi upokorzenie się zuchwałego Stadnickiego, który, założywszy ekscypcyę przeciw prawowitości sądów królewskich i zapozwany o to przez króla, poddał się wkońcu majestatowi królewskiemu i w publicznej, solennej scenie z skruchą przeprosił Zygmunta. Późniejsza wreszcie wiadomość zwiastowała podobnież przedjednanie najmożliwszego z nieprzyjaciół królewskich, wojewody krakowskiego, Piotra Kmity. Po dość długiej opozycji, uległ on naostatek wpływowi okoliczności, uniżył się Barbarze w Krakowie, odwiedził wraz z żoną królestwo oboje w Niepołomicach i uprosił sobie tam zaszczyt podejmowania wzajem króla i królowej u siebie, w swoim zamku w Wiśniczu, błyszczącym z tego powodu przez dni kilka trudnym do opisania przepychem najkosztowniejszych uczt, igraszek i cudów gościnności. Gdy tak potężni przeciwnicy głowę przed królem i królową schylili, nie dziw, że cała rzesza ich popleczników, tłumy bezmyślnych naśladowców, przechodziły na stronę łaski królewskiej. Jak niedawno, pod koniec roku 1548, wszystko bez dostatecznej przyczyny zawrzało dziką żądzą rozerwania ślubów królewskich, tak teraz w ciągu roku 1549 zajaśniały wszelkie serca, również bez dosta-

tecznego powodu, jak słońce po przesunięciu się przypadkowego obłoku, niespodziewaną życzliwością parze królewskiej. Czarna tucza <sup>1)</sup> piotrkowska, grożąca zupełną zagładą, przemknęła wprawdzie bez deszczu, ale któż mógł być pewnym, że nie zginie w jej gromobicju. Kto drżał pod jej chłodnym, ciemnym przeciągiem, ten miał wszelkie powody radować się z słonecznej teraz pogody. Słusznie też cieszył się z niej tak serdecznie ów ochmistrz dworu Barbary, i cieszyła się sama Barbara.

Ale jakże dziwną była ta jej uciecha! Jak cały jej los dotychczasowy, tak i obecna jej radość niezwykle jaśniała rysy. Im głębsze, wewnętrzniejsze było źródło, z którego ona płynęła, tem mniej spodziewaną postacią zdumiało wszystkich teraźniejsze zadowolenie królowej. Widząc ją tak bliską kresu ostatnich życzeń, a przecież zawsze jeszcze potrzebującą względów i życzliwości ludzkiej, aby ten kres ostatni w rzeczy osiągnąć, wyobrażano sobie powszechnie, iż Barbara podwojoną dobrocią i uprzejmością zechce sobie pozyskać i ubezpieczyć serca poddanych. Toć jej pierwsze wystąpienie na ziemi koronnej, owa scena przywitania się Barbary z królem pod Radomiem, tem najwięcej podobały się wszystkim, iż świadczyły o pokorze i potulności nowej królowej. Też samej pokornej słodyczy i uprzejmości oczekiwano od niej także na zamku krakowskim. Tymczasem ludzkie żądania i wyobrażenia płynęły w jedną stronę, a wrodzone usposobienie Barbary, pod wpły-

<sup>1)</sup> Chmura.



wem następujących po sobie wypadków, wcale odmienny wzięło kierunek. Barbara wydała się teraz oczom ludzkim dumną, nadętą, nieprzystępną. Ta sprzeczność pomiędzy tem, co według rozsądnych oczekiwań ludzkich koniecznie nastąpić miało, a co skutkiem danych skądinąd warunków nastąpiło w rzeczywistości, sprzeczność, zachodząca prawdopodobnie nawet pomiędzy własnymi zamiarami Barbary a nieuniknionemi wynikłościami jej charakteru i losów, nadaje osobliwszy urok obecnemu ustępowi jej życia. Skupia się w nim tyle różnorodnych, różnobarwnych promieni światła, iż można go zaprawdę poczytać za najpoetyczniejszą chwilę w życiu Barbary.

Jest to w całej pełni tego wyrazu chwila zwycięstwa, szczęścia, pokoju, wypoczynku. Licząc ją od wjazdu na zamek krakowski aż do najbliższego głośniego potem czynu, do koronacji, trwa ta słoneczna chwila blisko dwakroć tak długo, jak cały dotychczasowy przeciąg małżeństwa królewskiego. Po tak licznych zmianach i wstrząśnieniach od września 1547 aż do lutego 1549, wypoczywa teraz skołatana niepokojami Barbara, w zupełnej prawie zacyzzy zewnątrz, od lutego 1549 aż do grudnia 1550, blisko dwa lata. Przez cały ten czas, po tylokrrotnem rozstawaniu się na długie tygodnie i miesiące, żyli oboje kochankowie w nieprzerwanem już z sobą połączeniu. Temu szczęściu każdej powszedniej miłości towarzyszyło drugie, niewątpliwie wyższe w oczach Barbary, szczęście uznania jej ślubów królewskich przez cały naród. Braku-

jący jeszcze temuż uznaniu zaszczyt ostatni, dyadem<sup>1)</sup> królewski, dość już pewny w przyszłości, aby nie mógł pobudzać więcej do bolesnych niepokojów i powątpiewań, był w obecnem szczęściu tylko tym zbawiennym dźwiękiem tęsknoty, który nie dozwalał przystępu przesytwi fortuny, tym cieniem, który podnosił światło obrazu. A jedno i drugie, ten dźwięk tęsknoty i ten cień przy świetle, zdawały się tem potrzebniejszemi teraźniejszymu szczęściu Barbary, im bardziej ona w powszechności okazywała się uzdolnioną do biernego raczej utęskniania za szczęściem, niżli czynnego używania go, do marzeń raczej, niżli do namiętności. Wszystkie znane nam rysy charakteru i fizyognomii Barbary, jej dziwnie rozmarzone spojrzenie oczu, jej zewnętrzna powolność ruchów, jej wewnętrzny upór w pewnem zachceniu, wielokrotnie przez najbliższych świadków zarzucany jej, wszystko wskazuje na taki temperament melancholijny, w powolnem, upornem, tęsknem rozmiłowany marzeniu. Jest to zawsze rodzajem omdlenia, czyli, jak najprzywiązańszy z tego czasu poufnik królowej, Stanisław Koszucki, w liście do podczaszego lit. po łacinie wyraża się, rodzajem rozprężenia umysłu, *quaedam solutio animi* <sup>2)</sup>, które to osłabienie umysłowe wiąże się zwyczajnie, a wiązało się zwłaszcza w tym razie, z wątłością, słabowitością ciała. Niechże to wątłe i słabowite ciało ulegnie w porze swojego szczęścia rzeczywistemu cierpieniu fizycznemu, a owo

<sup>1)</sup> Korona.

<sup>2)</sup> Pewne rozprężenie ducha.



rozprężenie umysłu nabędzie stąd oczywiście tem jaskrawszego pozoru i sprawi, że sposób używania szczęścia przez taki subtelny, marzący umysł przybierze, w stanie istotnego rozniemożenia się ciała, jeszcze dziwniejszy dla oczu ludzkich widok.

A stało się to właśnie w obecnym razie. Już w kilka dni po wjeździe na zamek krakowski uczuła się Barbara dotkniętą cierpieniem fizycznym, które, jako dawną jej dolegliwość, dość lekce sobie ważono, i które też w rzeczy bez dalszych napózór skutków minęło. Atoli w rok później rozwinął się zaród tych dawnych cierpień w niebezpieczną chorobę raka. Już wtedy, na dziewięć miesięcy przed spodziewaną dopiero koronacją, a na rok cały przed zgonem, znalazło się życie królowej w niebezpieczeństwie. Trwało to niebezpieczeństwo przez ciąg kilku tygodni. Listy króla z tej pory, pisane do brata Barbary, pod czaszego lit. Mikołaja Rudego, tchną najczulszą niespokojnością. Ileż jednak rozsądku i umiarkowania w tej boleści Zygmuntovej! Spotykają Augusta zwyczajnie pomówienia o zabobonną wiarę w moc guseł, w cudowną pomoc czarowników i czarownic. I podczas tej śmiertelnej choroby Barbary daje się słyszeć kilkakrotna wzmianka o takiej »w sztuce magicznej dobrze umiętnej niewieście, o babie, któraby była *perita et bene versata in arte incantamentorum*«, z polską: biegła w zdejmowaniu uroków. Ale nie król to, nie światły Zygmunt August, zaleca i proteguje te czarodziejki. Wyprawia je kilkakrotnie do siostry pod czaszy lit., Mikołaj Radziwiłł, wierny w tem zabobonnej wierze swojego kraju, Litwy, gdzie,

przy nierównie niższym stopniu oświaty, przecho wywały się jeszcze pod strzechą sielską i na dworze radziwiłłowskim przesądne wyobrażenia o władzy czarów, uroków i guseł. Ze strony Augusta ujmuje nas przeciwnie delikatność, z jaką on, nie śmiąc odrzucić wprost ofiarowanej przez brata czarodziejki litewskiej, odracza zawsze jej przyślanie do Polski. Aż wreszcie ulitował się Bóg pierwszego smutku Augusta i dozwolił mu cieszyć się jeszcze przez trzynaście miesięcy ukochaną małżonką. Barbara wyzdrowiała. Atoli niepodobna przypuszczać, aby zjadliwa, długo wewnątrz rozwijająca się choroba nie wpłynęła także na umysłowe usposobienie królowej, tak przed samym wybuchem cierpienia, jako i po nim. Przez co nie tylko melancholijny sam z siebie temperament, nie tylko nader bolesne doświadczenia i zgryzoły pierwszego roku związku z Augustem, alie jeszcze tajny wpływ tlejącej w zanadrzu choroby, przyłożyły się wspólnie do ujaskrawienia obecnej pory szczęścia Barbary tak dziwnobarwnem światłem, jakim ona razila wzroki współczesnych, a niewymownie żalosi nie zachwycić może oko dzisiejsze.

Szczęście tryumfującej Barbary uśmiecha się do nas wszelkimi wdziękami smutku. Radość z osiągnięcia królewskiej stolicy na Wawelu opromieniona jest dokoła wspomnieniem łez, wylanych w Dubinkach i Radomiu. Nadzieja blizkiej korony świeci na podścielonym całunie obawy śmierci. Już ta mara grobowa, wykarmiona dawną wątłością zdrowia, cierpieniem i chorobą, głęboko zająrzała w duszę Barbarze. Odtąd w każdym spojrze-



niu oka Barbary, w każdym jej zamysleniu się, w każdym coraz powolniejszym, coraz obojętniejszym o ziemię ruchu, przebija się cień tego śmiertelnego uroku. Atoli im jawniejszy, tem staranniej bywa on zwykle ukrywany przed ludźmi, tajony w samotności. Stąd też i Barbara unosiła go rada w najsamotniejszą głąb swoich komnat królewskich. Ku największemu zdziwieniu całego dworu, opanowało królową zamięłowanie odludności. Usuwiała się biedna na całe dnie i tygodnie z przed oczu dworu. Wówczas każdy widok obcej postaci ludzkiej bywał jej przykrym. »Kiedy się na pokoju zawrze — donosi wierny sekretarz Barbary, zacny Koszucki, panu podczaszemu lit., Mikołajowi Radziwiłłowi — dzień albo kilkanaście już jej nie widzieć. Ani tam sługa wchodzi żaden, nakoniec i pana Lubelskiego (ochmistrza dworu) nie wpuszczą. Zakolatawszy, musi bez wpuszczenia ze wstydem odejść«. Nawet widok panien przybocznych bywał nieraz natrętnym upragnieniu zupełnej samotności. Wtedy niejednej, która nie w porę ją przerwała, niecierpliwe z ust królowej padało słowo. Tylko do Augusta utęskniała odludna jej posępność. Zdało się, jakby w przeczuciu niedługiego z nim połączenia, chciała Barbara daną sobie jeszcze porę żywota przeżyć z nim wyłącznie w swej samotności. Trzymała go też ustawicznie przy swoim boku, zazdroszcząc każdej chwili, poświęconej przezeń sprawom publicznym. Zresztą, wyjąwszy Zygmunta i koronę, to podwójne słońce jej życia, okazywała się Barbara obojętną dla wszystkich i wszystkiego. W szczególności obcą

jej była chęć powiększania swojego wpływu w państwie przez wspieranie próśb cudzych swoją protekcją. Swoje własne szczęście, całe swoje jestestwo tak podkopaniem czując, nie mogła Barbara służyć za podporę szczęściu cudzemu. Nie przyczyniała się więc pospolicie za nikim u Augusta, albo przyczyniała się oziębłe. A również ozięblą znajdowała ją także każda przyjemnostka powszednia, każda sprawa pożycia codziennego, jeśli nie łączyła się z nią sposobność podniesienia swojej godności królewskiej w oczach narodu. Dnia koronacyi oczekiwała Barbara z niewysłowionem upragnieniem; gdy król w świetną podróż po Wielkopolsce wybierał się, Barbara, przeciw radzie własnej rodziny, zażądała koniecznie udziału w jej zaszczytach królewskich; ale gdy wypadło udać się wraz z królem do kościoła, lub w inne miejsce, trudno jej było opuścić samotność pokojową, i długo natenczas musiał król z panami stać w sieni, nim królowa nareszcie ubrała się...

Tak posępnem było szczęście Barbary. I jakby jeszcze niedość smutku w niem było, omraczał je nadto cień niewyrozumiałości ludzkiej. Wszystkie wytknięte tu rysy obecnego stanu Barbary: jej samotność, jej przypadkowa niecierpliwość w obejściu się, jej więzienie króla u siebie, a oziębłe przyczynianie się za proszącymi, nawet ta powolność w ubieraniu, dały powód do tyluż skarg i zarzutów. Tęsknotę do odosobnienia poczytano za pychę i pogardzanie ludźmi. Nie przypuszczony do królowej kasztelan lubelski, ochmistrz dworu, użalał się: »Wzdym ja jest rada pańska. Pan sam,



kiedy przyjdę, każe mi siedzieć, a moja pani, ku zelżywości mojej, nie każe mię ku sobie wpuszczać. Toż zato, żem się ja dla niej wszystkiej Polsce obrzydził? Rychło to wiary mej pani moja zapomniała! Jeżeli nami tak rychło gardzić chce, niech się tego ostrzega, by jej Pan Bóg za się nie skarał...» Podobnie narzekała cała družyna dworzan. Wszyscy oni narazili się z dawną krewnym i panom, poświęcając służby swoje Barbarze. Pragnąc zato przynajmniej uprzejmego spojrzenia pani, utyskiwali żałośnie: »Byśmy zato, cośmy się braci swej sprzykrzyli, nic więcej nie mieli, tylko tę jedną pociechę, iżby nasza pani rada na nas patrzyła, to byśmy o nic więcej nie dbali, i każdy z nas radby gardło swe dla niej położył; ale widzimy, że i pani o nas nie dba, i do domu po co nie mamy!« Przykre słowo, powiedziane przez Barbarę jednej z pannen dworu, wywołało długą, niemiłą sprawę. Rozpieszczona panna wszczęła szeroki o to lament. Zjechał ojciec, niejaki pan Skotnicki, aby odebrać córkę z fraucymeru królowej. Mogło to jeszcze bardziej poruszyć języki ludzkie. Wstawili się tedy krewni Barbary i ochmistrz Maciejowski do pana Skotnickiego, prosząc o pozostawienie córki u dworu. Jedna z nieprzyjaciółek królowej, pani kasztelanowa wojnicka, poduszczała ojca przeciwnie, aby ją wziął koniecznie. Najmniejsza drobnostka urastała w rozgłośnie obwinienia. Panowie senatorowie, zniewoleni wraz z królem do czekania w przedsieni, aż się królowa jejmość ubierze, szemrali z cicha: »Ta pani nikomu nie czyni w czas, jedno sobie. Jeśli na radę pańską (senatorów) nie

dba, tedyby wždy tego strzedz miała, aby jej król nie czekał!« Cóż dopiero, gdy obaczono, iż król ustawicznie przesiadywa w komnatach Barbary i że »na sprawach rzeczypospolitej bardzo bywa płochoy, a tęskliwy dla tęskności bez królowej jejmości!« Osobliwie zaś rozszerzał się powszędzy żal ku królowej, iż niedość gorąco wstawia się u króla za tymi, którzy ją proszą o protekcję. »Prze Pana Boga — pisze zacny sekretarz Barbary, Koszucki, do rodzzonego jej brata, podczaszego — racz jej waszmość radzić, chociaż przez list, aby się chutliwiej<sup>1)</sup> przyczyniła za tymi, którzy się wždy jeszcze o przyczynę do jejmości garną; boć się ich już wiele odraża dlatego, że się *frigide*<sup>2)</sup> przyczynia, choć o blache rzeczy proszą; a mogłaby jejmość tym sposobem wielką miłość zjednać... Co gdyby było, takby się tą uprzejmą ludzkością wślawiła, iżby ją wrychle miano za jedną świętą panią. Więcej w Polsce ubogich niż bogatych! Gdyby wszyscy w niej ufanie swe kładli, jeden dla brata, drugi dla swata, trzeci też dla sam siebie, i życzyliby jej tem więcej miłości pańskiej i samiby za nią Boga prosili, na koniechy ją czasu potrzeby nietylko panu poznańskiemu albo wojewodzie krakowskiemu, ale i samemu cesarzowi Ferdynandowi obronili. Nie wierz, waszmość, temu, by to na paniech jedno zależało, aby ją za panią przyjęli. Toćito wiele i na pospółstwie zależy, które gdyby w niej się rozmiłowało, musieliby panowie ustąpić,

<sup>1)</sup> Chętniej.

<sup>2)</sup> Zimno, obojętnie.



gdyby wszyscy hurmem zawołali: Bodaj zabit, kto jej za panią nie chce mieć!»

Nie ze złego więc serca, jak widzimy, pochodziły te żale do Barbary. Owszem, przemawia w nich po największej części obrażonej miłości skarga. Ale w tem właśnie leży tragiczność położenia Barbary. Miłość ludzka żądała od niej, czego ona żadną miarą spełnić nie mogła. Barbara miała uprzejmie uśmiechać się do swego dworu, kiedy pierwsze przeczucia śmierci okrażały jej duszę przestraszoną! Barbara miała gorąco przyczyniać się u króla o nowe dla starosty wielu starostw starostwo, kiedy jej własne, jej całe szczęście gasło tuż przed oczyma, a nie było ręki na ziemi, któraby je na nowo rozpromienić zdołała! Barbara miała wreszcie troszczyć się więcej o Rzeczpospolitą niż o Augusta, kiedy każda chwila ich miłosnego odosobnienia wiązała ją do niego okropnym urokiem pożegnania na wieki, urokiem chwili ostatniej!

Po wypadkach łatwo usprawiedliwiać Barbarę. Wszakże przed katastrofą gdzież serca ludzkie o tak tkliwym, domyślnym wzroku, iżby im dano było spostrzedz subtelne<sup>1)</sup>, z księżycowych promieni utkane pasmo przyczyn, dla których każda podobna ofiara zawistnych losów niezdolną jest wyjść z pożądanym uśmiechem naprzeciw naszym najprzychylniejszym życzeniom — dla których ona mimo swego pozornego blasku i szczęścia, sama stokroć żałośniejszą jest od nas i do naszego współ-

<sup>1)</sup> Delikatne.

czucia, a nie obwiniania ma prawo! Najosobliwszy zaś widok uderza oczy, gdy z taką zboląłą ofiarą i takim pasmem misternych przyczyn i względów zetknie się żelazna dusza wielkiego męża w pełni siły i hartu. Z osobna i owa bolejąca i ta żelazna dusza są po swojemu piękne i wzniosłe; w styczności z sobą przyjdzie im prawie nieuchronnie przedstawić przykład tak wrogiego sobie wzajem niezrozumienia się, tak jaskrawej dysharmonii<sup>1)</sup>, jaka n. p. widzieć się daje w stosunku Barbary ze stryjecznym jej bratem Mikołajem Radziwiłłem Czarnym, marszałkiem W. Ks. L., jednym z największych mężów i najoryginalniejszych charakterów wieku Zygmuntów, człkiem bitnym, rozumnym, dziwnie jowialnym, a całą duszą przychylnym swojej siostrze stryjecznej. Dla swojej mądrości, umyślnie na dwór Zygmunta Augusta do rady w wspólnych sprawach rodzinnych powołany, miał on obowiązek wpływać na sposób postępowania Barbary. Pogromca Moskwy pod Orszą, wjeżdżający do Wilna w tryumfie na koniu zabitego woźdza nieprzyjacielskiego, potężny możnowładca, będący w stanie przez czas długi, aż do swej śmierci, powstrzymać osobistym wpływem przeciwne swoim wyobrażeniom złączenie się dwóch narodów, unię Korony z Litwą, ma teraz być doradcą wątłej, chorobliwie kapryśnej, skrzydłem śmierci ocienionej kobiety, doradcą bladego cienia! Ileż trudu potrzeba, aby odwrócić ten cień od upragnionej podróży z królem do Wielkopolski, gdzie w tłumie

<sup>1)</sup> Niezgody.



zuchwalej szlachty uboższej miała Barbara najwięcej nieprzyjaciół, i groziły najliczniejsze niebezpieczeństwa despektu<sup>1)</sup>, paszkwilów i obmowy. Ale Barbara, do ostatniej chwili wierna królewskiemu, monarszemu urokowi swojej miłości, oczekiwała gorąco dnia koronacyi, a naparła się holdu w Wielkopolsce. Laskawy August uspokoił Barbarę odpowiedzią: »Jeślim ja was pojął, toć się was nie wstydzę; dlaczegóż was wziąć nie mam?« Zaczem, mimo wszelkich niedogodności tej podróży, »ani moja — pisze Czarny, marszałek Radziwiłł, do Rudego, podczaszego Radziwiłła — ani żadna największego i najmędrszego perswazyja nie nie pomoże, jeśli się sama naprze. Bo acz to waszmość wiesz, ale to waszmość i ode mnie wiedz, że używa tej laski u króla, której nie jest rzecz podobna, aby która królowa w koronie polskiej kiedy używała większej u małżonka swego, by jedno ta laska na dobre wyszła, bo gorąca miłość łatwie gaśnie. Perswadowałbych królowej, aby tam (do Poznania) się nie kwapiła, ale rozmyślam się, by mojej życzliwej rady w co innego nie obracano. Wszakóż według powinności swej uczynię, a jeśli repulzę<sup>2)</sup> wezmę, dam pokój. Ale to pewna, że pojedzieli tam, upstrzą kolebkę paskwilusy; trzeba będzie osobnych sztafierów<sup>3)</sup>, coby je oddzierali. Ja o to starać się będę, abym tam z panem nie był, acz pójdzie mi to o łaskę jego: wszakoż wolę

<sup>1)</sup> Ubliżenia.

<sup>2)</sup> Odmowę.

<sup>3)</sup> Rodzaj służby.

żałości używać przez niełaske, niżli mieć żalność przez lekkość (obelgę), którejem się dosyć napił dla tej pani młodej. Jużbych rad tej powinności komu innemu ustąpił bez płacy. Chociam w wielkich ceremoniach wjechał do Krakowa, ale przed tym rządem wypadnę, skoro bramę otworzą. Bo ja nie nie dokażę, ani około Poznania, ani około czego innego, jeśli się ona naprze. A tak dla Pana Boga, racz waszmość o tem myśleć, jakoby to jej wybić z głowy. Wszystko mi się widzi, jeśli przyjdzie na to, że królowej nie wrócić z Poznania. Albo -tam nie pojedzie, albo po ogień pojedzie: ostanie tam ledwie przez noc. Panie podczaszy! Jużci dufale<sup>1)</sup> piszę, powiadam to ku czci mej, żebych się teraz rad widział w tysiącu mil od dworu pana mego, tak mi smakuje ta praktyka dworska... Byłoby co pisać, ale jużem musiał ustać, mając iść do króla na tęż wczorajszą rzecz, na którą po tem swem przespaniu tak będę wotował<sup>2)</sup>, jako i pierwej. Pan niech czyni, co raczy, a ja o tem myśleć będę, abym z nim hufa nie ciągnął, bom w takiej bitwie nie powinien gardła dać. A zatem daj, Panie Boże, abych waszmość zdrowego widział. Jeśli tego nie życzę, bodaj mię pestilencya<sup>3)</sup> zabiła. *Raptim*<sup>4)</sup> w Krakowie 4 lipca 1549. W. książęcej mości powolny brat i sługa Nikolaus Radziwiłł.

Obeszło się przecież bez podróży do Wielko-

<sup>1)</sup> W zaufaniu.

<sup>2)</sup> Głosował.

<sup>3)</sup> Zaraza.

<sup>4)</sup> Śpiesznie, szybko.



polski. Wszelka usilność życzeń skierowała się ku koronacyi. Gdy przy coraz widoczniejszym rozwątleniu zdrowia, po przebytej niedawno chorobie śmiertelnej, zasępiła się myśl królowej aż nazbyt często ciemnym widokiem przyszłości, natenczas z piersi jej wydzierano się westchnienie: »O gdyby przynajmniej tyle jeszcze życia zostało, aby bogdaj jeden dzień po koronacyi mieć koronę na skroni!« Jakoż, lubo Barbara swoim postępowaniem nie mogła powszechnego obudzić uwielbienia, uchylily się zwolna wszelkie przeszkody, opierające się dotąd obrzędowi koronacyjnemu. Zwołany w kilka tygodni po śmiertelnej chorobie Barbary sejm piotrkowski okazał się wcale pobłażliwym dla sprawy, którą przed kilkunastą miesięcy tak zawzięcie prześladowano. Nie stanęła wprawdzie żadna publiczna uchwała na korzyść małżeństwa królewskiego, ale oprócz umilkłej już opozycyi pólskiej, mógł król porozumieć się jeszcze poufnie z wielką liczbą senatorów względem koronacyi królowej. Ostateczna w tej mierze decyzja<sup>1)</sup> zapadła na dworze głównego niegdyś przeciwnika Barbary, wojewody krakowskiego Kmity, w kilka tygodni po sejmie, podczas głośnych odwiedzin obojga królestwa w Wiśniczu. Skłoniono się ze strony króla do niektórych przyzwoleń duchowieństwu, ze strony zaś Kmity do użycia wszelkiego wpływu u szlachty, aby koronację bez zwołania sejmu do skutku przywieść. Za pomocą uzyskanych w ten sposób biskupów i reszty szlachty

<sup>1)</sup> Uchwała, postanowienie.

można było, acz zawsze jeszcze z niejaką ostrożnością, oznaczyć już dzień obrzędu. Wybrano do tego 9-ty dzień grudnia roku 1550.

## VI. Koronacya.

Ostatnie z życzeń Barbary szło w spełnienie. Najpromienniejsza mżonka owych dumań miłosnych w ogrodowym dworze radziwiłłowskim stała teraz przed Barbarą w dotykanej rzeczywistości. Kwiat całego błęgiego stosunku z królem młodzieńczym rozkwitał teraz w jej ręku. Ale jakże smutno uiszczało się to na jawie, co tak cudownie błyszczało w mżonce! Jakże posępną barwą szarzał rozwinięty dziś kielich tego kwiatu, który tak rozkosznie połyskał w pączku! I nietylko wewnątrz Barbary posmutniało. Jeszcze i cały zewnętrzny otaczający ją widnokrąg posępną przyoblekł barwę. Do mnogich żalów tej pory przybył żal po śmierci matki Barbary, pani kasztelanowej wileńskiej. Umarła ona w kwietniu r. 1550, nie doczekawszy się koronacyi córki. Wiadomość o jej rozchorowaniu się poprzedziła o niewiele zapadnięcie samej Barbary w niemoc śmiertelną; wiadomość o zgonie kasztelanowej była pierwszą wieścią ze świata, która powitała wracającą do życia córkę. Obok krzyża matki wznosił się w kilka miesięcy krzyż drugiej wielce życziwej osoby, pierwszego w Koronie powiernika ślubów Barbary, biskupa krakowskiego Maciejowskiego, rodzonego brata ochmistrza dworu królowej, zmarłego krótko



przed koronacją. Jednocześnie z temi stratami zasmucał oboje królestwo, a osobliwie Barbarę, widok niezgody bratniej w rodzinie Radziwillów. Drugi stryjeczny brat królowej, Jan, krajczy lit., rodzony brat Mikołaja Czarnego, chwycił się przeciwnego reszcie rodu stronnictwa i, wchodząc w ścisłe związki z głównymi nieprzyjaciółmi małżeństwa królewskiego, utrudniał szczęśliwe rozwiązanie tej sprawy i gorszył oczy narodu. Nawet pomiędzy przyjaznych braci Mikołajów, Czarnego i Rudego, wkradł się przy tej sposobności pewien cień niedowierzania. Różnymi smutkami bolejąca Barbara, musiała jeszcze w listach do rodzzonego brata, pod czaszego, dotykać wielokrotnie tego niemiłego przedmiotu, a czyniła to w nader rozsądny i męski sposób. Wreszcie nie mogło także cieszyć przekonanie się o nieczystym charakterze człowika, którego oboje królestwo w pierwszych czasach swojego związku zupełnem obdarzali zaufaniem, a który teraz jawnie okazał się obludnikiem, naszego dawnego znajomego, starosty mereckiego, a teraz wojewody połockiego, Stanisława Dowojny. Podczas swego pobytu w Krakowie począł on intrygować u króla przeciw rodzonemu bratu królowej, swemu dawnemu przyjacielowi i towarzyszowi w Dubinkach, chcąc zachwiać króla w zamiarze darowania szwagrowi Kojdanowa, jednej z najpiękniejszych włości litewskich. Udaając zaś co innego przed królową, stał się dawny lekarz Barbary przedmiotem zabawnej sceny, opisanej przez sekretarza królowej, Koszuckiego, w liście do brata jej, Mikołaja. »Trafiło się też niedawno —

pisze Koszucki — iż mi jej k. m. powiedzieć raczyła o owego borsuka Dowojnę, że przyszedł jednego czasu do jej k. m. i ją przed jej k. m. te słowa mówić: Wierzę, miłościwa królowo, dobrzeby, aby jego k. m. panu pod czaszemu ten Kojdanów dał już teraz. Oto panu marszałkowi to a to dał, a panu pod czaszemu jeszcze nic. Jej k. m. w te słowa odpowiedziała: Jać nie wiem, miły panie starosto, czemu jegomość w tem tak odwłacza, a toć to już rzecz pewna, że i panu pod czaszemu mieć. Potem, gdy p. Dowojna wyszedł, a jego k. m. do jejmości przyszedł, jej k. m. to wszystko jego k. m. powiedzieć raczyła, co się jej za rozmowa z p. Dowojną o Kojdanów a o waszmość przydała. Tamże jego k. m. powiedzieć raczył: Nu, kiedyż tak Dowojna powiada, proścież mnie przy nim panu pod czaszemu o Kojdanów, jakoby się on tej znowy między nami nie domyślił, a jać wam w rzeczy zbraniać będę, jakobych go woli nie miał dać, chociaż dam, albowm już dał. Tam ujrzyście, że Dowojna mnie inaczej radzi, gdzie wy nie słyszycie. I trafiło się, gdy jej k. m. przy Dowojnie jęła prosić, król ją odmawiać, mówiąc: Oj, wieleby też to Kojdanów dać. Abyście wy wiedzieli, iż Kojdanów jest tak dobry, jak Grodno. Tam jej k. m. powiedziała: O miłościwy królu, nie racz w. k. m. temu wierzyć, być tak dobry miał być, to jest rzecz niepodobna. Król zaś odpowiedział: Ale ja wierzę, iż jest, bo mam dobrego świadka. Prawda, panie Dowojno, żeście wy mnie powiadali wczoraj, że jest tak dobry, jak Grodno, i mówiliście, żeby go szkoda oddawać komu, boby



to było z niemałą szkodą moją. Dowojna zatem, jakoby zmyty, zbladł, a jął pleść trzy po trzy, popluwając...» Ale zapewne jeszcze ciężiej zawinił on niegdyś jako lekarz królowej. Gdyż trudno przypuścić, aby jego leki, udzielane Barbarze długo w Dubinkach i w Wilnie, a wymierzone przeciwko jej mniemanemu cierpieniu na kamień, miały być lepsze od fałszu, na jakim go właśnie schwytano. Do tylu różnych przykrości i przykrostek przybył świeżo smutek największy, nowy powrót cierpień królowej. Z nadejściem zimy roku 1550, t. j. z samą porą zapowiadanej już koronacyi, zaczęło się jej znacznie pogarszać. Czuła się nieraz tak słabą, że lękała się nie dożyć koronacyi. Teraz to powtarzały jej usta często ono życzenie: Och, tylko jednego dnia koronacyi!

Na tak posępnym dokoła widnokregu nadszedł wreszcie ten dzień. Z powodu jednoczesnej uroczystości złożenia hołdu przez niektórych lenników korony polskiej, mianowicie książąt pruskiego i pomorskiego, zebrał się cały prawie senat w Krakowie. Zjechali posłowie tychże książąt hołdownych; przybyli osobiście w gościnę dwaj książęta sąsiedni, Jan, książę na Lignicy, potomek starożytnych Piastów śląskich, i śląski też książę na Cieszynie; stanęli wreszcie w stolicy bracia królowej, obadwaj Mikołajowie, w sam dzień koronacyi nowemi zaszczytami dostojenstwami, w szczególności marszałek Mikołaj Czarny do godności w. kanclerza lit., a podczaszy Mikołaj Rudy do godności wojewody trockiego podniesiony.

Rano dnia 9 grudnia arcybiskup gnieźnieński

Dzierzgowski, w towarzystwie wszystkich prawie biskupów królestwa, oczekiwał w katedrze na Wawelu przybycia pary królewskiej. Okazała się ona o wyznaczonej godzinie, otoczona całym dworem i gronem senatorów, poprzedzonych przez wojewodę krak., Piotra Kmity, niosącego laskę, jako marszałek w. kor. Przed resztą niezliczonych panów, pań, mieszczan i ludu odznaczali się posłowie książąt lenniczych i obaj książęta śląscy. Na przeciw wielkiego ołtarza wystawiony był tron, obity londyńskim i orleańskim sukniem, szkarłatnej barwy. Zasiadła na nim po raz pierwszy Barbara w nadzwyczajnie bogatym, od samych pereł i klejnotów błyszczącym stroju królewskim. Wśród nabożeństwa przystąpił prymas z biskupami i kanonikami katedralnymi do tronu i przy uroczystej asystencji całego duchowieństwa, namaściwszy Barbarę, włożył jej na skroń koronę upragnioną. Rozlegający się zwykle w takiej chwili okrzyk radosny, witający nową rzeczywistą królową, był zapewne najmiłszym głosem, jakim kiedy ziemia przemówiła do jej duszy.

Po odbytej uroczystości nastąpiło hojne rozdawanie upominków wszelkiego rodzaju, mianowicie w bogatych szatach, szubach, sobolach, w nadzwyczajnej ilości przez długi czas przez rzemieślników królewskich w tym celu sporządzanych. Wreszcie ucztą wspaniałą, przygotowana dla wszystkich zgromadzonych gości w dwóch komnatkach zamkowych, nowem obiciem z złotogłowia błyszczących, zakończyła ceremonię dzisiejszą.

Nazajutrz na rynku krakowskim, przed oczyma



Barbary, wyglądającej z swoim dworem z okien pałacu Jordana Spytka, naprzeciw zamku, odbierał król na tronie przed ratuszem po dawnym obyczaju hołd książąt lennych. Była to pierwsza i ostatnia uroczystość publiczna, w której Barbara, jako rzeczywista królowa, publicznie miała udział. Usilnie przez nią przed koronacją pokonywana i tajona choroba wybuchła tem gwałtowniej po spełnionym obrzędzie. Już z koronacyjnej wracając ceremonii, gdy poufniejsze grono domowników winszowało Barbarze nowego dostojęstwa, miała ona z bolesnym odpowiedzieć uśmiechem: »Do innej wnet korony powoła mię Pan Niebieski; proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił«.

Słowa królowej były istnem proroctwem. Nie pozostawało jej nic już do życzenia na ziemi i nie pozostawało jej też więcej, jak tylko sześć miesięcy do życia.

## VII. Śmierć.

Jeśli Barbara goręcej, niż się godzi, pragnęła blasku i zaszczytów światowych, tedy dziwnie uderzającym sposobem ukarał ją Pan Bóg za to. Cały objęty naszą powieścią przeciąg jej życia był nieustannem pasmem utęskniania do coraz dalszych stopni w drodze do tronu. Utęskniając od uzyskanego serca Zygmunta do jego ręki, z więzienia w Dubinkach do wielkksiążęcych komnat zamku

niższego, z stolicy wielkksiążęcej do królewskiego grodu w Krakowie, od przybytku w grodzie królewskim do koronacyi, przeżyła Barbara w przeciągu trzech lat te wszystkie stacye koronne, a gdy wkońcu dopięty został ostatni cel ambicyi — anioł śmierci rozpostarł cień swoich skrzydeł nad nią i kazał jej rozstać się z wszystkim.

Przez cały grudzień, styczeń i luty dojrzewała choroba, wśród ciągłych cierpień i coraz większego osłabienia. W takim stanie nie można już było myśleć o spełnieniu życzenia, które niedługo przed koronacją powstało w obojga królestwa sercu, przejmując je pragnieniem podróży do Litwy i przydłuższego pobytu w Wilnie, miłem miejscu pierwszych wspomnień miłosnych. Królowa nie wstawiała już z łoża, a listy sekretarza Koszuckiego do brata Barbary Mikołaja wyrażają bardzo małą nadzieję życia. Jawne było to niebezpieczeństwo Barbarze. Syta zaszczytów królewskich, tęskniła ona w teraźniejszym przedzgonnem rozrzewnieniu serca tem żałośniej do wszelkich skromniejszych, ale serdeczniejszych pamiątek przeszłości, lat dziecięcych, rodziny. Przybył od brata podczaszego z listem stary dworzanin radziwiłłowski, Nieszyka. Słuchając odczytywanego sobie listu braterskiego, zaczęła królowa gorzko płakać. Potem kazała sobie zawołać starego sługę radziwiłłowskiego. Ale król, lękając się niepomysłnych skutków spodziewanego przy tem wzruszenia, nie dopuścił staro Litwina przed łożę chorej królowej. Lada wstrząśnienie mogło zerwać słabą nitkę jej sił żywotnych. Aż tu jeszcze przed odjazdem Nieszyki



do Litwy rozszedł się po całym dworze Barbary radosny głos o jej zdrowiu. Nieszczęsny guz, który się już od czasu pierwszej przed kilku miesiącami choroby uformował był na lewym boku królowej, a który teraz w ostatniem niebezpieczeństwie rozcinać miano, sam się otworzył. Wszyscy medycy królewscy poczytali to za nader szczęśliwy znak. Do dwóch Nieszyce wręczonych listów smutnych dodany został trzeci, radosny. Powszechna uciecha ogarnęła umysły dworu. Niedawna trwoga ustąpiła zupełnej prawie ufności. »Królowa jejmość od dnia do dnia ku zdrowiu przychodzi — pisze Mikołaj Czarny Radziwiłł do Rudego. — Nie opuści nas Pan Bóg, jako tego zazdrośni nieprzyjaciele życzą!« Jeszcze radośniejszy, a równie pewny wyzdrowienia królowej był list Zygmunta. Opisując w nim wszelkie okoliczności rekonwalescencji<sup>1)</sup> Barbary, usuwa król znowuż łagodnie ofiarowaną przez pana podczaszego niewiastę, w sztuce magicznej biegłą, jako teraz zupełnie już niepotrzebną.

W takim składzie rzeczy stał się — jak ochmistrz królowej panu podczaszemu donosi — dziw niesłychany na dworze panów naszych! Królowa Bona, dotąd ciągle wroga Barbarze, zesłała teraz z Warszawy, swojej stolicy, na zamek krakowski, solenne do Barbary poselstwo, ofiarujące jej przyjaźń i miłość.

Było też, zaiste, dziwić się czemu! Aż potąd działała Bona, wprawdzie z daleka, ale silnie nad zniweczeniem szczęścia Barbary. Nie mógłszy

<sup>1)</sup> Powracania do zdrowia.

jeszcze za życia Zygmunta Starego odwieść syna od poślubienia kochanki, dołożyła ona podczas pierwszego sejmku piotrkowskiego wszelkich zabiegów pokątnych, aby przeszkodzić uznaniu małżeństwa królewskiego. Nie mógłszy unieważnić ślubów małżeńskich, wyteżyła Bona podczas drugiego sejmku całą swoją biegłość w intrygach, aby utrudnić koronację Barbary. Nie mógłszy i tego dopiąć, przybrała teraz maskę przyjaźni i zbliżyła się z miłością ku synowej. Skłonił ją do tego albo widok spodziewanej śmierci Barbary, w którym to razie pojednanie się z umierającą królową miało ją pojednać znowu z rozżalonym dotychczasową nieprzyjaźnią Augustem, albo potajemny plan skuteczniejszego podkopania wpływu Barbary z blizka, w postaci przyjaciółki. Na wszelki wypadek, według bezstronnych świadectw historyi, nie była Bona w stanie dopuścić się względem Barbary bezpośredniej winy, jak tylko takiej nieprzyjaźni i bezskutecznych intryg. Zatrwały one wprawdzie gorzko życie Barbarze, lecz o inną, rzeczywistą truciznę posadza Bonę tylko ku przyszłości zwrócona obawa rozżalonego a podejrzliwego Augusta.

Teraz, w trzeci dzień świąt wielkanocnych, na pięć tygodni przed śmiercią Barbary, odbyła się na pokojach królewskich ceremonia, której sam Zygmunt August pragnął jak największej nadać okazałości. Królowa Barbara, lubo według mniemania powszechnego blizka już wyzdrowienia, jeszcze na łożu leżała. Przy niej, jako publiczny tłumacz jej słów, pełnił obowiązki ochmistrza dworu pan kasztelan lubelski, Maciejowski. Z dala



otaczał królową świetny dwór pań i panów. Wiedziano tam panią wojewodzinę krakowską z matką, panią sandecką żupnikową, panią kasztelanową czchowską i wszystkie inne, jakie natenczas były w Krakowie. Pomiędzy panami, którym król zlecił znajdować się także przy audyencji, uderzały osobliwie postaci pana podkanclerzego kor. i panów kasztelanów: wojnickiego, radomskiego, bieckiego, sandeckiego. W głębi zgromadzeni byli dworzanie. Wobec tych wszystkich stał przed królową na środku sali mnich zakonu św. Franciszka z dwoma listami w ręku, jednym od królowej Bony, drugim od siostry Zygmunta Augusta, królowy Zofii. Po doręczeniu pism ochmistrzowi, przemówił mnich po łacinie: »Najjaśniejsza królowa Bona, z łaski Bożej królowa polska, pani moja najmiłościwsza, widząc to wolą Niebios, których rozkaz panuje wszystkiemu na ziemi, jakoteż życzeniem jego król. mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom nie godzi się opierać, aby waszą król. mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją i uczynił ją tronu i łoża uczestniczką — po długim i dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować waszą król. mość, jako swoją córkę i synową najukochańszą, którą teraz przeze mnie, świadka i spowiednika sumienia swego, pozdrawia i nawidza, zasyłając modły do nieba, aby waszej król. mości dało rychłe wyzdrowienie z tej obecnej niemocy i wszelkie sukcesy i pomyślności na przyszłość«. Odpowiedziała na to królowa Barbara przez usta swego ochmistrza, »tak, jako tylko najukładniej i najwdzięczniej odpowiedzieć mogła«. Zaczem stanęła

już zgoda i przyjaźń pomiędzy obiema koronowanymi paniami Polski. Zygmuntowi i Barbarze, jak Mikołaj Czarny Radziwiłł pisze przy tej sposobności Radziwiłłowi Rudemu, usunęła się — »ostatnia kłoda z drogi«. Gładka już była droga — do grobu.

W trzy godziny po scenie pojednania, przeciw radosnemu króla i całego dworu oczekiwaniu, wzięła choroba Barbary nagle gwałtownie zatrważający obrót. Po otworzeniu się guza na ciele królowej, uformował się i pękł podobnie wtóry. Z ich odpływem upłynęły także siły Barbary, wycieńczone wieloletniem cierpieniem i półroczną już prawie chorobą ciągłą. Febra z gorączką dokonała dzieła zniszczenia. Ósmy dzień maja (1551) miał położyć koniec boleści i nadziejom.

Aż do tego dnia, gdy wszyscy ufność już utracili, gdy wszyscy już to z unuzenia, już to ze wstrętu do przykrego stanu chorej, ile możliwości od śmiertelnego jej łoża uchylali się, jednego Zygmunta Augusta nie opuszczała nadzieja, jeden Zygmunt August nie odstępował na chwilę umierającej. Mając już niewiele dni do spędzenia na ziemi, zapragnęła Barbara zmiany miejsca. Królewskie komnaty na zamku krakowskim zdały się jej za duszne. Wychowanka leśnej Litwy, córka rodu myśliwskiego o godle »Trzech trąb« łowieckich, uczuła chęć odetchnienia jeszcze raz wonnem powietrzem leśnem. Miano ją wywieźć do zamku królewskiego w Niepołomicach, wśród puszczy leśnej. Dla tem snadniejszej jazdy kazał król przyrzadzić niezmiernie obszerną karetę, mogącą pomieścić łożo chorej



i służbę. Sporządzony powóz okazał się szerszym od bramy miejskiej. Wzięto się więc do wylamania obszerniejszego otworu w murze. Nie potrzebowała go już Barbara.

Nad ranem ósmego maja, w uroczysty dzień św. Stanisława, ozwało się w królowej przeczucie blizkiego zgonu. Prosiła o wcześniejsze niż zwykle odprawienie mszy św., po której zażądała przyjęcia sakramentów. Po namaszczeniu olejem św. nastąpiło pożegnanie z Augustem. Wtedy ostatnią w życiu prośbą skłoniła Augusta do przyrzeczenia, iż po śmierci odwiezie ją nazad do Litwy. Jedy-nem jeszcze życzeniem, jakim duma światowa mogła była natchnąć umierającą, było życzenie spoczywania w grobach królewskich, wśród reszty koronowanych małżonek królów. Nieumiesz-czenie tam zwłok Barbary mogło być poczytane za pośmiertną odmowę tej czci królewskiej, której za życia odmówić jej nie zdołano. A przecież wo-lała Barbara spocząć w rodzinnej Litwie, w Wil-nie, w pobliżu onych błogich ogrodów dworu ra-dziwiłłowskiego, w miejscu pierwszej miłości i ma-rzeń złotych, tak rychło a tak smutno zniszczonych. Dana Barbarze w tej chwili obietnica pogrzebania ją w Litwie, uprowadzenia jej z stron, gdzie jej sercu tyle strzał padło, była tak stanowczą, iż naj-usilniejsze później przedstawienia przeciwne, czy-nione w interesie rodziny przez Radziwiłłów, oba-lić jej nie zdołały. Jeszcze kilka godzin po tem pożegnaniu pasowała się chora z śmiercią. Wresz-cie w samo południe ogarnęła ją dziwna trwoga. Kazala przybliżyć się Augustowi. Nie mogąc doj-

rzeć go już dokładnie, nadstawiła mu ręce, które on w niemej ujął boleści. Mimo tak blizkiego po-lączenia się, rosła chmura ciemności pomiędzy nimi. Czarne skrzydło anioła śmierci spuszczało się coraz niżej. Ostatni promień życia Barbary, ostatnie jej tchnienie miało na ustach Augusta zgasnąć...

Oćmiony, zagłuszony tym ciosem, August koil nieświadomie boleść swoją zwykłym w takim ra-zie zakrzętem około usług ostatnich. Zaraz naza-jutrz wyprawił król do brata nieboszczki, woje-wody trockiego Mikołaja, list z doniesieniem o śmierci. Przy wielu szczegółach ostatniego stanu choroby nie masz tam najmniejszej aluzji do śmierci nienaturalnej. W publiczności atoli rozeszła się pogłóska, posądzająca królową Bonę o otrucie Barbary, za sprawą bawiącego podówczas w Kra-kowie Włocha, lekarza i sekretarza Bony, Ludwika Monti...

Trzeciego dnia po śmierci, w sobotę, ubrano ciało nieboszczki w czarną atlasową szatę i zło-żono je w trumnę bogatą, ozdobioną wszystkimi oznakami dostojności królewskiej. Złota korona błyszczała na bladej skroni, prawa ręka dzierżyła berło, lewa jabłko królewskie. Tak wystawione były zwłoki Barbary na widok publiczny w sali zamkowej. Odbyło się solenne nabożeństwo ża-łobne, przy którym w obecności dworu, panów i duchowieństwa, spuszczone na zawsze wieko na trumnę. Każda z okoliczności pogrzebu szła na-tychmiast w liście królewskim do wiedzy brata nieboszczki w Litwie. Nic zaprawdę nie cechuje



tak szczerze miłości króla, jak to listowe teraz przyłgnięcie do człowieka, który, będąc rodzonym bratem zgasłej i najwięcej zapewne po królu wspólną dotkniętym boleścią, zdawał się być niejako ostatnim żyjącym szczątkiem umarłej...

Gdy się rozszerzyła wiadomość, że król zwłoki Barbary osobiście do Litwy przewieźć zamierza, uczuli wszyscy żal wielki, upatrując w tem jakoby wyrzut za dawny opór przeciw Barbarze. Udali się tedy wszyscy senatorowie i dygnitarze do króla z prośbą o pochowanie Barbary w grobach królewskich. Król jednakże nie dał się zachwiać we własnem i nieboszczki życzeniu. Uwiadomił o tem szwagra królewskiego trzeci w przeciagu dni 10 list Augusta, polecający mu oczekiwać konduktu <sup>1)</sup> pogrzebnego i króla w stolicy Litwy. Dnia 25 maja zaś, po powtórnem nabożeństwie żałobnem, odbytem uroczyście nad trumną, przeniesioną do kościoła katedralnego, włożono zwłoki nad wieczorem do umyślnie na to przyrządzonej kolebki, i nastąpiła nadzwyczaj okazała, obecnością króla, wielu biskupów, panów i ludu uświetniona eksportacja <sup>2)</sup> ciała z Krakowa, w drogę do Litwy, pod przewodnictwem samegoż króla.

Trwała ta smutna podróż przez cały prawie miesiąc. W ciągu całej podróży nie odstępował August na chwilę trumny kochanej. W drodzejechał on tuż za nią konno, w żałobnym stroju, w głębokim smutku. Przy wjeździe do któregośkol-

<sup>1)</sup> Orszak.

<sup>2)</sup> Wyprowadzenie.

wiek siola lub miasta, zsiadał król z konia i szedł pieszo za ciałem. Nie odwiodła go od tego ani razu żadna niepogoda, żadna przeszkoda.

Towarzyszył też orszak dawnego fraucymeru królowej i kilku panów. Pomieszczenie trumny i całego towarzystwa żałobnego podczas częstych noclegów sprawiało niemało trudności. Ponieważ to jednak w jakikolwiek sposób wiązało się z najdroższym dotąd Augustowi przedmiotem, więc zajmował się rad osobiście najdrobniejszymi sprawami. »Wola nasza jest — pisze król w jednym z listów, rozporządzających przyjęcie konduktu na stacyi następnej — aby w Rudnikach (myśliwskim dworze królewskim) ciało królowej jejmości stało przed tym domem, pod owym alkierzem, w którymśmy domu sami mieszkować zwykli. A to twoja miłość wiedz, iż się ciała nigdy z kolebki nie składają; przeto już przed tym domem, gdzieśmy mieszkowali, ciało niechaj pod alkierzem stoi z kolebką, a w tym domu się na wierzchnich wszystkich gmaszach fraucymer królowej jejmości złoży. A my sami w tym domku drugim, gdzie król jegomość ojciec nasz stawał, stać będziemy też na wierzchnich gmachach. Pan stolnik z pisania twojej miłości nam mówił, aby gdzie w dwójce pani Kiezałowa stara z panią wojewodziną połocką stać mogły. A tak niechaj stoją, a wojewodzina witebska z niemi trzecia w tym domu, gdzie królowa stara stawała, na wierzchnich także gmaszach...«

Zwyczajnie odbywało się na każdym noclegu przez duchownych miejscowych nabożeństwo żałobne przy trumnie, składanej w miastach na mary



wśród kościoła. Kolebkę z trumną ciągnęły ustawicznie rumaki karej maści. Gdy jedne ustały na siłach, szukano innych tej samej koniecznie maści i niekiedy po największej przepłacano je cenie.

Już w drodze będąc, otrzymał król od brata zmarłej, wojewody trockiego, list, przedstawiający w bardzo silnych wyrazach niestosowność grzebania zwłok Barbary gdzieindziej, niż w królewskich grobach w Krakowie. »Jeśliś ją z łaski Bożej a swej potem — prosi króla dumny Radziwiłł — posadził na tronie i włożyłeś na nią koronę, zrównałeś ją w. k. mość z pomazańcy Bożymi ku czci jej i swej. Przebóg! połóż ciało jej tamże, *ad perpetuam ejus memoriam*<sup>1)</sup>, między ciała innych królów, aby ludzie nie mówili: że ją wyrzucono z korony precz, iż nie była godna leżeć między tymi koronowanymi pany«. — Król odpowiedział, że nie może zostawić zwłok Barbary w Krakowie z wielu przyczyn, między któremi dwie główne, iż przyrzekł to samej Barbarze i ponieważ niektórzy w Koronie okazywali nieprzychylność nieboszczce. »Przeto — pisze August — gdy żywej wdzięczni być nie chcieli, nie zdało się nam, abyśmy między tak niewdzięcznymi ludźmi umarłą chować mieli, *ut illud compleri possit: o terra ingrata, non habebis ossa mea* (aby spełniły się słowa: o ziemi niewdzięczna, nie będziesz posiadać kości moich)«. — Co z smutkiem wyczytawszy, zaniósł wojewoda trocki nową prośbę, aby ciało Barbary złożone było przynajmniej w tym samym grobowcu w Wilnie, w któ-

<sup>1)</sup> Ku wiecznej jej pamięci.

rym leży już pierwsza małżonka królewska, Elżbieta Rakuszanka. Lubo i to sprzeciwiało się pierwotnemu zamysłowi Augusta, chcącego pogrześć małżonkę w założonym przez siebie kościele św. Anny, zezwolił król przecież na spełnienie życzeń radziwiłłowskich, zamierzając złożyć ją w kaplicy kościoła katedralnego, obok królowej Elżbiety.

Stało się to wreszcie pod koniec czerwca, około św. Jana. Wjechał król z. swoim skarbem żałobnym do miasta Wilna w towarzystwie mnogich panów litewskich, którzy już w kilkadziesiąt mil od stolicy, w Mostach, w Olkienikach, w Rudniku, spotykali go z powitaniem. Duchowieństwu wileńskiemu, które starodawnym obyczajem krajowym chciało króla powitać w polu przed miastem, kazał król wstrzymać się na ten raz od nazbyt wystawnych ceremonii i przyjąć królową zmarłą u bram kościoła. Przez cały tydzień przed przybyciem konduktu działały się w Wilnie przygotowania do pogrzebu, powlekano kirem ściany komnat zamkowych i świątyń pańskich, stawiano mary w pięciu głównych kościołach. O samym pogrzebie tylko to wiemy, iż z prawdziwie królewską odbył się okazałością. We wszystkich głównych świątyniach odprawiały się egzekwie i nabożeństwa żałobne. Zwłoki Barbary spoczęły według przyrzeczenia królewskiego w kościele katedralnym, obok Elżbiety. Wkrótce po pogrzebie dwaj rzeźbiarze włoscy wzniesli nad grobami obydwóch małżonek królewskich dwa nader kosztowne pomniki marmurowe.

Osieroconemu Augustowi już tylko przyozda-



bianie tych pomników, pielegnowanie drogich po Barbarze pamiątek pozostało. Wszystkie jej zabytki, wszystkie szaty, kosztowności i przybory Barbary służyły królowi do ostatnich chwil życia, nawet w rozporządzeniach testamentowych, za przedmiot najtkliwszej czci. Różne też inne okoliczności dowodzą niezgasłej w Augustcie przez cały żywot pamięci dla Barbary, przychylności dla wszystkich, którzy mu ją przypominali. Przed wyjazdem z Wilna założył król tamże pod górnym zamkiem kościół ku czci św. Barbary. Stryjeczny brat królowej, Mikołaj Czarny Radziwiłł, marszałek i kanclerz W. Ks. Litewskiego, mianowany został jeszcze wojewodą wileńskim, co go wszechwładnym panem księstwa czyniło. Bylego sekretarza królowej, Stanisława Koszuckiego, przyjął August w własną służbę bibliotekarską. Przez całe życie nie zdejmował król z siebie szat koloru żałobnego. Pokoje ulubionego mieszkania w Knyszynie pozostały zawsze kirem obite. Wiadome jest podanie, jakoby król zniewolił był głośnego czarodzieja do pokazania mu cienia Barbary...

Żyła jeszcze Barbara na ziemi takim życiem pamięci aż do zgonu Zygmunta Augusta. Z nim zamarły także wspomnienia o Barbarze. Zapomniała jej nawet własna rodzina do tego stopnia, iż dozwolono runąć jej grobowcowi w katedrze wileńskiej. Popioły Barbary zmieszały się z popiołami reszty strupieszalnych mieszkańców kruchty kościelnej. Nie pozostał żaden znak trumny, żaden ciała Barbary. Tylko uczonemu Starowolskiemu księga nagrobków przechowała nam napis, znajdu-

jący się niegdyś na jej pomniku grobowym, a gło-  
szący w główną pochwałę zmarłej, że »niejednemu pomogła, nikomu nie szkodziła«. Powtarzano ten frazes bardzo często o królowej Barbarze. W życiu prywatnem jest on zapewne dostatecznym. Atoli dla bohaterki dziejów zbyt blada to aureola<sup>1)</sup>. Przy wielkich postaciach historycznych, przy ofierze królowej Jadwigi, przy bohaterstwie Chrzanowskiej, gwiazda Barbary przygasa. Wielkość historyczna wykwiła zwyczajnie z wielkości poświęcenia, a Barbara niczego nie poświęciła. Barbara własnego jedynie pragnęła szczęścia. Ale ponieważ to szczęście wiele lez, boleści, a może i życie kosztowało, ponieważ wiele cierpiała, przeto lgnie do niej chętnie poezya, miłośniczka cierpienia. I często zatem brzmi lutnia polska pieśnią o królewskiej miłości Barbary, i płyną łzy współczucia dla jej cierpienia, które każdemu sercu są tak zrozumiałe i blizkie.

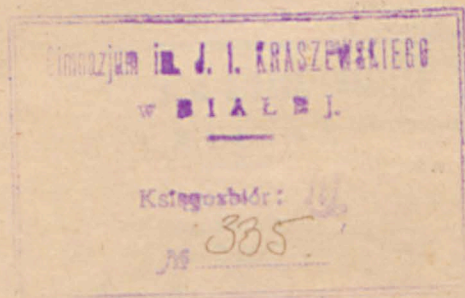
<sup>1)</sup> Oznaka chwały, nimb świetlany naokoło głowy świętych.





K. SZAJNOCHA

ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO  
BRODY KRZYŻACKIE



WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1909



*Mr inw 362*  
362

K. SZAJNOCHA

ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO

BRODY KRZYŹACKIE



WARSZAWA

WRAKÓW. — Druk W. L. ANCEYCA I SPÓŁKI.

W BIAŁEJ.  
Katalog: U  
№ 332

### ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy: z rycerskości i z zamięłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historii i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki, lecz w tej mierze historia wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader oplakanyim stanie upadku. Je-



żeby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą, niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a nie zasilone rolnictwem ubóstwo materialne po zejściu dynastji Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszymu względach czemuż ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przede wszystkim przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincje. Rzecz to równie powabna, jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony krakowskie, sędomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy, zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmia gwarem pracy we wszystkich zawodach

życia. Starożytne nadania i konfirmacye<sup>1)</sup> kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tęż samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tyńieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa, w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam, oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych, zaledwie tu i owdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzone błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskimi gdzieniedzie zgliszczami na Podolu, i trawne oczerety<sup>2)</sup> a stępy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemogie wsie i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dookoła. Nieco dalej nad Dniestrem wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadał około 1390 darem Władysława Jagielly całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiellów, Władysław, obdarzył w r. 1441 zasłu-

<sup>1)</sup> Zatwierdzenia dawniejszych nadań. — <sup>2)</sup> Trzcina, zarośla.



żonego w walkach z Tatarstwem rycerza, Jana z Sienna, starodawnem Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo Podolskie, z dalekimi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopacholek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi, albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców, darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwolna zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedlili się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich

składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze<sup>1)</sup> rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepelnionego drobną szlachcią Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiellą i panującym na Belzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenty ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawili ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę, sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w polu czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwalając zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobną szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopów. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego podgórzia Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona

<sup>1)</sup> Obdarowani.



z nich działwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsie szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw Ruskiego i Bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historii takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie, niż do czekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś u dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenty fundacyi <sup>1)</sup> i jaką taką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastąpiło, nie było też wsi dookoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym kręgu wywołuje potrzebę miasteczka, z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje <sup>2)</sup> się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie mia-

<sup>1)</sup> Założenia. — <sup>2)</sup> Umieszcza się.

steczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu obwodowych miast dzisiejszej austriackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody, Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyę <sup>1)</sup>. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszone sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około r. 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV jako wioska do dóbr oleskich i wznosił się dopiero za Sienińskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi, Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w mia-

<sup>1)</sup> Przywilej, przez który wieś albo osada otrzymywała samorząd miejski.



steczko dziesięcią laty pierwiej za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli, Stanisław Rewera Potocki, około roku 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastąpił Czartków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacją jakiegoś miasteczka. Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wzniesli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustan czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. Zamojscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów niegdyś Rogoźno, 1588 Krzeszów. Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548 Tarnogórę. Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1584 początek Brodom. Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553 Suchostaw czyli Jabłonów, około r. 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kutv. Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizów, 1566 Dobromil. Żórawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. Lipsy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskim. Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów, niegdyś Domanysz. Tarłowie 1570 Mikołajów. Fredrowie 1580 Niemirów. Firleje 1570 Firlejów. Reje 1547 Rejowiec. Jordanowie 1595 Mi-

kulińce. Siemieńscy 1504 Pomorzany. Jazłowieccy 1559 Barysz. Mieleccy 1548 Ujście nad Dniestrem. Strusiowie Strusów. Opalińscy 1638 Opalin. Maciejowscy 1557 Maciejów. Płazowie 1615 Płazów. Pileccy 1569 Sokółów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacji miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk. 1400 Hrubieszów. 1420 Dunajów. 1424 Sokal. Około 1431 Mrzyglód. 1431 Radymno. 1455 Rawa. 1471 Komarno. 1471 Kamionka Strumiłowa. 1510 Żurów. 1515 Uhrynów. 1515 Załosce. 1525 Husaków. 1530 Borek. 1538 Wąreż. 1549 Budzanów. 1549 Mosty Wielkie. 1559 Husiatyn. 1571 Rozdół. 1588 Dubienka, niegdyś Dębno. 1588 Korytnica, niegdyś Wręby. 1591 Magierów. 1610 Baligród. 1611 Janów. 1615 Sasów. 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk. Po 1665 Uścieczko nad Dniestrem. 1672 Wielkie Oczy itp.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom ruskiemu, bełskiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XIV, wzmagająca się ona w wieku XV, upadała w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasilku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenty fundacyjne nie podają nam ani daty ich na-



stania, ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nietylko z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladźką zaludnili, założonemi swoim staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliskie Wiśle województwa ruskie i bełskie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacja stron naddniestrzańskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnie szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczania nierównie większe trudności, niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie знаła wcale

zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu, na kresach ukraińskich toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliska Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa, jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmierzonego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego, drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem Andruszowskim roku 1667, a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych, przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmielckiego i hetmana koronnego, Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pie-



czołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowie ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów: gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. »Ja sam« — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — »założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1000 osad urosło«.

Na każdym pustkowie zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsie i miasteczka, nie zważając, na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć, i odbywały się w pismach i na sejmie głosy, doradzające, »aby prawem osady zakazane były wszelkie w dzikich polach, t. j. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to«. Nastąpił wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wynikał pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o taką nowo przezeń założoną osadę czyli slobódkę, której, jako

na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarość Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — »wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała« — mówi współczesny Jerlicz. »Niegdyś za królów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków« — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzy małosyjskich<sup>1)</sup> — »kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniali dokumenty nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, niewięcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną«.

Tenże sam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niedys w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, siola zamieniły się w zgłiszcz. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego wprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu Andru-

<sup>1)</sup> Zapiski o jużnoj Rusi. Izdał P. Kulisz. Petersburg 1856—1857, tom I str. 88.



szowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru wzdłuż dzisiejszych powiatów czehryńskiego, czerkawskiego i kaniowskiego skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodważaniem świadectwem swoim najlepiej poprze nasze twierdzenie.

»Wszystek tedy kraj ukraiński« — opowiada dalej p. Kulisz — »obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który, ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyn, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia, tak szczerze uposażona od Boga, miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dniepru, ani powstrzymywała przemoc człowieka, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych, z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia

się około nowej ich uprawy i kolonizacji. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądź to w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzimych Poleszuków, i ich to wioseczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu Dniepru. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie oddawna trzymała ziemię szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna przeszła od Strusiów do Potockich, Śmiliańszczyzna od Konięcpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficjaliści i pełnomocnicy, podobnie jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna, tymże samym sposobem: bądź to z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź też z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyn chłopów, od pana zbiegłych.



»Kulminacyjnym<sup>1)</sup> punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich tudzież innych najskuteczniejszym środkiem osiedlania ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności, i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądź to z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądź też z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stałe na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partią ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawykawszy do stron tułczyjszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu, i korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek, obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przed wszystkim myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej, jak na prawach slobody, to jest uwolnienia od wszystkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową slobodę na różnych miejscach

<sup>1)</sup> Najważniejszym, najsilniejszym, głównym.

tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praznikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na slobodę. Lecz w każdym siole bywały sieroty, pokrzywdzone od starszego rodzeństwa, — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili, byli kochankowie, obawiający się rozłączenia, lub doznający prześladowania, było nakoniec wielu ludzi, pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsluchiwało z radością obietnic nowozakładających się slobód, jako hasła do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmiłańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom slobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzą żoną i z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa.

»Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznymi strumieniami zroszonych dolin, stały nowozałożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lepszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A i ci nawzajem słali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na



polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napelniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwnych siół i grodów rosyjskiej Hetmańszczyzny. U rybaków dniewprowych przechowała się po dziś dzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobraża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu slobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się *slobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siółu, wbijano na wygonie słup, na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kolki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kolek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności.

»Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne<sup>1)</sup>, pańszczyzny naznaczano najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie

<sup>1)</sup> Podatek od dymu, tj. od chaty.

płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę itp. Podstarościowie i inni oficjaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furazu<sup>1)</sup> wojskom rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru, albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporozie przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju, prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo wzamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach, ani w czemkolwiek innem nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych roboczną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe siola do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo, tak i Ukraińcy nie znali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasznego głodu. W historii uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności: albo nie-

<sup>1)</sup> Żywności.



zwyczajnie niskie ceny, albo całkowity brak chleba głód a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich, i żadną miarą nie mogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiała i zabudowała te strony...»

Toż samo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o спустoszeniu kraju kozackimi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

»Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisów polskich *hosticum* <sup>1)</sup>, u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowu w ludną krainę... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporoskie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię, ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną».

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina, tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina, tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie nanowo osiedlone zostały przez szlachtę

<sup>1)</sup> Wrogim.

polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czy to na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych, — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć plugowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historii.

Zastanawiając się nad tem historycznem powinowactwem polskiego miecza i pluga, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

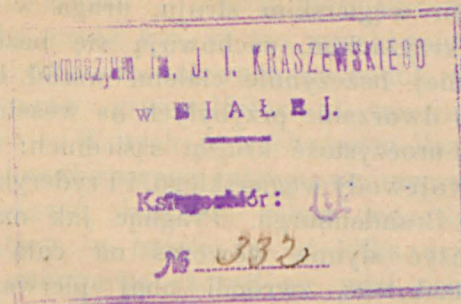
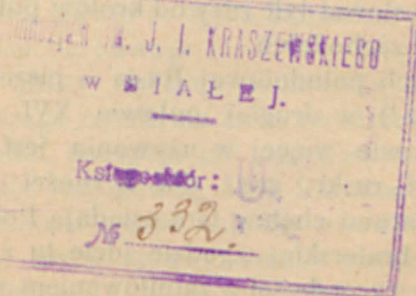
»W stronach południowej Rusi« — pisze nasz Marcin Kromer <sup>1)</sup> w drugiej połowie XVI stulecia — »już prawie więcej w używaniu jest dyalekt polski, niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy».

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu z sobą zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawił ją

<sup>1)</sup> Historyk XVI w.



i osiedlił. Oba żelezce okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych. Gromieni bowiem szablą polską, Tatarzy i Turcy wracali lat następnych na nowo z pożogą i rabunkiem w granice nasze, ani polski też oręż zgłębił ostatecznie Tatarów w Krymie i grozi dziś Osmanom w Carogrodzie. To samo zaś polskie narzecze, które przed trzystu laty słyszano tak szeroko po ziemiach ruskich, brzmi tam ciągle po uprawionych ręką polską obszarach i brzmieć będzie na zawsze po założonych przez nią siołach i dworach



### BRODY KRZYŻACKIE.

Jesteśmy w roku pańskim tysięcznym pięcsetnym i dwunastym, na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom Boży ku jutrzejszej koronacji pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wynoszą ze skarbca złote i srebrne naczynia kościelne, i według zwyczaju, zdobią niemi ołtarze, inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego świętego miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława *vola* pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie, w zwycięskich bitwach zdobyte, i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna



w bogatym węgierskim stroju, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się beczynnie, przynajmniej beczynnie ciałem, wśród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich: Naderspana — wojewody węgierskiego, i Fryderyka, margrabi na Brandenburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grunwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski; malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyshał o tym grobowcu. Podczas gdy Węgier pobożnie u wniścia klęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet u wstępu, lecz z uader światową skwapliwością zdążał naprzód, szukając oczyma pomnika męczeńskiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca słuszne wzbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszy był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Był to wzrok wyraźnego oburzenia i przestrachu. Zmarszczył brwi, owinał się ciaśniej w swój biały płaszcz o znanym czarnym krzyżu i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę — ową brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas pospolicie tylko »brodacami

o czarnym krzyżu — *barbati nigra cruce signati*<sup>1)</sup>. Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patryotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców grunwaldzkich i tannenberskich. Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń — celem, który w istocie za lat kilka zrzuceniem płaszcza zakonnego szczęśliwie miał osiągnąć — był kufel z piwem, były kostki szulerskie, żona dorodna i wszelkie podobne rozkosze spokojnego żywota. Wszakże i przy tych rozkoszach, i właśnie przy nich bardziej, niż w jakimkolwiek innym położeniu, — chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej »skóry«, o swoją — brodę. A tu przed nim, przed jego żywymi oczyma, wisiały, obok krzyżackich chorągwi, poddzierane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddzierane wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddzierane ze skórą czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko z niepewnej tradycyi gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą w niewątpliwej, w namacalnej rzeczywistości. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciółom brodę ze skórą oddziera i w kościele, jako pobożne zawiesza *votum*. Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby...

1) Brodacze, oznaczeni czarnym krzyżem.



Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł obok klęczącego u drzwi Węgra z kościoła i dopiero na dworze, pod Bożem niebem wolniej odetchnął.

Jak nasz Krzyżak w tej chwili, tak wielu Krzyżaków przed nim, tak wielu gościń w Krakowie bawiących Niemców, zwłaszcza Prusaków, opuszczało co roku z oburzeniem katedrę na Wawelu. Domowe podanie o brodach w Krakowie ciągnęło ich za przybyciem tamże ciekawie do kościoła, a doznany w kościele widok, opisywany z przestachem rodzinie i przyjaciółom w domu, dodawał coraz więcej wiarogodności podaniu. Niebawem stało się ono świętym artykułem wiary »ludowej«. A zakorzeniwszy się w ludzie, w życiu, przeszło ono także w literaturę, w kroniki. Jaki tylko kronikarz pruski opisywał odtąd bitwę grunwaldzką, każdy poczuwał się święcie do obowiązku przytoczenia szczegółu, iż zabitym mistrzowi i komturom brody ze skórą odcięto i w Krakowie na zamku w ofierze zawieszono. Znajdziesz tę wiadomość we wszystkich głównych pisarzach z końca piętnastego i pierwszej połowy szesnastego stulecia, w szczególności: u Szymona Grunaua w Kronice pruskiej, *Tract. XIV. C. XII. §. 3.* (Voigt *Histor. Prus. VII.*), u Kaspra Schütza w *Historii pruskiej*, str. 102, u Kaspra Hennenbergera w *Opisaniu Prus*, str. 300.

Niedość na tem. Już to swoją ustną, już to pisemną drogą, rozeszło się straszne podanie nie-

mieckie poza granice swojej ojczyzny, po stronach okolicznych. I tak np. doszło ono aż na Ruś, do uszu albo oczu autora, wydanej niedawno przez szanownego Teodora Narbutta, kroniki ruskiej z XV-go lub XVI-go wieku, zwanej powszechnie: »Kroniką litewską Bychowca«. Jakby od naszego przerażonego Krzyżaka oświecony, lub jakby wiadomość swoją dosłownie z przytoczonych powyżej kronikarzów pruskich przepisał, opowiada ten latopisiec litewski (wydanie z r. 1846 str. rękop. 77—78):

*»Połowicu choruhwej nemeckich i borody Mistrzowu i wsich kuntorów jeho zmertwych obodrawszy, połowicu wzięli do Polski i połowicu do Litwy, hde toje borody i choruhwi w zamku krakowskom w cerkwi św. Stanisława, a w Wilni także u św. Stanisława zawieszony sut«.*

Wreszcie, rozpleniwszy się tym sposobem po przestrzeni świata, rozprzestrzeniła się wieść nasza również w przestrzeni czasu. Wiek XVI-ty podał ją XIX-emu; Grunau, Schütz, Hennenberger — Kotzebuemu. I ten w swojej »Dawniejszej historii Prus«, tom III strona 372., nie pominął krwawej pamiątki w kościele katedralnym krakowskim, nie omieszkiał wzdrygnąć się nad okrucieństwem Polaków. Jeszcze tylko potrzeba było, aby podanie pruskie, podbiwszy sobie tyle zdań, tyle ziem, tyle wieków, zholdowało ostatecznie wiarę samych Polaków. I owo zdarzyło się przed kilkunastu laty, iż zacny Teodor Narbutt, autor 9-tomowej historii litewskiej, jedyne w swoim rodzaju, a w naszych stronach, ze



wstydem wyznać przychodzi, prawie wcale nieznanego dzieła, pracował właśnie nad tomem szóstym, a w nim nad historią bitwy grunwaldzkiej. Opisuując śmierć wielkiego mistrza Ulryka, nie wiedział zrazu, czy ma przyjąć wiadomość o jego i komturów brodach odciętych, gdy wtem przypomniał sobie zdarzenie swojej własnej młodości, które rozstrzygnęło jego niepewność. Dla zabawnej treści tego młodocianego wspomnienia przytaczamy je tu własnymi słowy autora, jak ono w jego »Historji Litwy«, w 6-tym tomie, 6-tym dodatku, na stronie 45—47 jest umieszczone.

»Pamiętam« — mówi czcigodny dziejopis Litwy — »gdym jeszcze chodził do szkół w Wilnie, jak opowiadał przed ojcem moim ksiądz Korzeniowski, proboszcz kościoła św. Jana i zawiadowca przy fabryce kościoła katedralnego, mój krewny po matce: Po przeniesieniu nabożeństwa, mówił on, z tego kościoła do św. Jana skarbiec kościelny, ulokowany w jednym ze składów kapitulnych, pod ostatnie czasy zamieszkań krajowych i po zgonie księdza biskupa Massalskiego przyszedł w wielki nieporządek. Wkońcu, gdy wejście do miasta wojska rosyjskiego zagrażało poczęło, rozmaici urzędnicy kapitulni, obawiając się o reszty bogactw kościelnych roztratę, pobrali do przechowania paki i kufry, będące w skarbcu. Jeden z niższych tych urzędników, rozumie-

jąc, że to jest skryty podział prawem własności, gdyż w nocy przewożono te rzeczy dla ukrycia przed okiem niepotrzebnych ciekawców, starał się coś na swoją część dostać. Trafił do składu pod ciemny wieczór i tam, znalazłszy jeszcze ogromną szkatułę, okutą sowitemi sztabami żelaza, kazał ją wydzwignąć z miejsca i zanieść nie bez trudności najętym drągalom do swojego mieszkania. Skarb ten, zapomniany zapewne od bardzo dawnego czasu, nabawił ciekawością swego lokatora. Zwierzył się swej troski jednemu przełożonemu zakonnikowi, i uradzili obaj, że w tej szkatule musi być coś nadzwyczajnego. Ona śni się we śnie, zjawia się w myśli czuwającego nieustannie i zajmuje do tego stopnia wyobraźnię, że zdaje się wszędzie za nim biegać, latać, przesuwac się.

»Ależ pamiętaj, księżę« — mawiał przełożony — »iż dawniej Twardowski mieszkał w Wilnie i wiele po nim rzeczy tu pozostało. Być mogło, że i ta skrzynia do tej kolekcji<sup>1)</sup> przekłętej należała. Przy miejscu świętem stała sobie spokojnie, dziś kto wie, co z niej wykluc się może. Lepiej gdzie przy kościele postawić, lub odesłać *ad locum priscum*«<sup>2)</sup>).

Ksiądz na drugie przystał. Lecz miejsce skarbcza już było zajęte na skład gipsów, marmurów połamanych i różnych podobnych rzeczy. Zdarzył się wkrótce i trzeci powierzenie. Ten,

<sup>1)</sup> Zbiór. — <sup>2)</sup> Na dawne miejsce.



wysłuchawszy opowiadań o dziwnej szkatule, zrobił wniosek, że przełożony przesadzone rzeczy wymyślił, zapewne, aby się w jego ręce dostał ten skarb zaklęty. Wnet więc doradził odbić i obaczyć, co jest w środku.

»Nie, nigdy na to nie zezwolę« — rzekł ksiądz. »Mogliby do mnie urościć pretensję. Przełożony, jak widzę, paplacz wielki. Dowiedziawszy się o tem, wprowadziłby mię w kłopoty«.

»On paplacz?« — zapytał powierzeniec. — »Alboż to W. Pan. dziś o tem się dowiedziałeś? Wiedźże, że ja od szóstej czy od siódmej osoby już wiem od tygodnia o wszystkim i tylko szukałem zręczności wybadania u W. Pana bliżej o tem«.

Przyszło więc do tego, że ksiądz udał się do biskupa Wolczackiego, zarządzającego dyecezyą podówczas, wyznał rzecz całą i prosił o przyjęcie szkatuły. Biskup długo wypytywał, śmiał się z księdza, wkońcu, zebrawszy kilku z oświeconszych duchownych kapituły, kazał przywieźć szkatulę i w oczach swoich odbić.

Jakież było zdziwienie nasze, mówił ksiądz Korzeniowski, obecny przy tem, kiedyśmy oprócz niezmiernej ilości pyłu, przykrywającego zawinięcie, nic więcej nie znaleźli. W rzeczy samej to zawinięcie zdawało się magicznem: lekkie, obwiązane porwanymi sznurami kolorowego jedwabiu rozmaitej grubości; najcieńszy był jak palec, inne splecione po szmuklersku. Po rozwinięciu spostrzegliśmy, że to były szczątki chorągwi i chorągiewek. Inne miały ślad frenzlów

złotych, srebrnych i kutasów, na innych były naszyte jakieś znaki, niewyrozumiałe dla dawności i zepsucia. Ten zaś cały pęk gałganów obejmował w sobie rzecz dziwną. Był to sznur, pleciony z jedwabiu czerwonego, długi więcej sążnia, do którego wplecione były na długości około półpięta łokcia, brody ludzkie rozmaitej długości i barwy, prosto jakby ze skóry odarte, siwe, czarne, ryże i t. d. Nikt nie umiał objaśnić, co by ten feston z bród znaczył. Jedni wnosili, że to jakiś zabytek z czasów poganizmu; drudzy, że Żydom kiedyś za jakieś świętokradztwo odarto po pół brody ze skórą żywym, i te na pamiątkę zachowane być musiały przy kościele, razem z trofeami zwycięstw, których szczątkiem były owe chorągwie.

»Rzecz poszłaby w zapomnienie wieczne« — kończy szanowny Narbutt — »gdybym nie znalazł w kronice rękopisnej litewskiej Bychowca str. 77—78 wyraźnego śladu o brodach krzyżackich, podczas bitwy pod Grunwaldem z poległych przełożonych zdartych. Były więc te brody w kościele katedralnym wileńskim zawieszone razem z chorągwi połową. Lecz tak już dawno zdjęto pamiątki te, że nikt o nich nie pamiętał. Nawet podanie poszło w zapomnienie. Stało się to zdjęcie zapewne podczas przerabiania kościoła po pożarze, w r. 1610 przydarzonym. Przeto mogły leżeć w skrzyni okutej sto osiemdziesiąt i kilka lat. Gdzieby się podziały, nie wiem, gdyż i ksiądz Korzeniowski już nie żyje. Może w skła-



dach kapitulnych czy katedralnych znalazłby się ślad jaki jeszcze».

Mamyż teraz nielitościwie rozwiąć cały urok tego młodocianego wspomnienia, które zacny historyk Litwy w tak szczęśliwą godzinę »zapomnieniu wiecznemu« wydarł? Mamyż świętokradzką ręką targnąć się na utwierdzoną już wszelkimi warunkami nieomylną tego gminnego podania, uszlachconego wykazaną powyżej genealogią tyłu stopni, uświęconego wiarą tyłu pokoleń, już nawet za udowodniony fakt w historię ojczyzny przyjętego?

Nie. Jesteśmy nieśmiali. Wolimy natomiast dokończyć naszą przerwana powieść o przestraszonego Krzyżaku.

Wybiegłszy z kościoła, zapragnął on koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przełknięcia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Jodok Ludwik Decyusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdyś w Polsce cudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski szczerą miłością ku narodowi, a znaleziony tu chleb nierzadko przyniesionem z sobą światłem odwiedzali. Decyusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek do historii panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem roz-

miłowany w swoich przybranych współziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemczych oszczerstw na ustach. Znał go nasz Krzyżak z tego względu i przeto nie śmiał wystąpić odrazu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszym przywitaniu ciągle zawiązała rozmowa, począł z krzyżacką, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i miłośzan, gościnność wszystkich.

»Tylko jedno« — dodał, spoglądając zukosa na towarzysza — »obraża tu oko przybylca i szkodzi samemu Polakom. Szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, skąd dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może«.

»Nie rozumiem« — przejął Decyusz. — »O czem to mówisz?«

»A o brodach naszych w kościele«.

»O jakich brodach?«

»Toć o brodach wielkiego mistrza i komturów grunwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława«.

Decyusz począł śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrzał nań jadowitem spojrzeniem i rzekł po chwili: »Nie myślę, abyś sztydził z krwi twoich ziomków«...

Decyusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszany tą wesołością i dodał: »Może zechcesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewny tego przed półgodziną. Lecz teraz naocześnie



się przekonałem. Cóż to innego być może, jeśli nie brody?»

»Co?» powtórzył Decyusz, ocierając sobie oczy, zasłże łzami od śmiechu. »Co? To buńczuki tatarskie. Buńczuki tatarskie i zwyczajne u tatarskich chanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosieni końskich, a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi od uzdy aż do siodła. Co Polacy po każdym zwycięstwie nad pogaństwem wraz z zdobytymi buńczukami Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa, w Krakowie i w Wilnie w ofierze składać zwykli«.

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten, wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej: »Mogę cię o tem zapewnić. Toć w moich własnych oczach nie jeden taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Niema jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Kleckiem na Tatarzynie zdobyto. A i teraz (da Bóg) sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o walnem nad Tatarami zwycięstwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj się, miły bracie, i płochem, ba, śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu... Ale widzisz ówdzie tego dziewięćdziesięcio-letniego staruszka? To pan Betman, żupnik krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów mych potwierdzi«.

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabskiego z Decyuszem, jego pomyłkę na widok

buńczuków i rzędów tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśnienie mu całej rzeczy, opowiada sam Decyusz w swoim piśmie: »*De Jagiellonum familia*«<sup>1)</sup>, w Pistoryusza Zbiorze dzieł do historii polskiej służących, w tomie II., na str. 288.

<sup>1)</sup> O rodzie Jagiellonów.





KAROL SZAJNOCHA.

# ZWYCIĘSTWO R. 1675 POD LWOWEM



WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1909



Mr inw 341

341

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO

W BIAŁEJ.

Klasa: U

Nr 341

Założenie plantacyi na Zamkowej Górze nad Lwowem przyozdobiło Lwów niezwykajnie piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jej przyjemności, zachwycamy się jej wielorakimi powabami, nie znając przecież, albo nie przypominając sobie najwspanialszego jej wdzięku. Jest to wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jest to otwierający się z niej widok miejsca, na którym spełniony został wiekopomny czyn bohaterski.

Patrzmy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacyi ponad łazienkami Kisielki i wiodąc okiem po tej niezmiernie płaszczyźnie, która od rogatki żółkiewskiej, wprost błyszczącego stawku łazienek rozpościera się i niknie poza przylądkiem dalszego pasma wzgórz na prawo. Na tej to równinie stoczyła się r. P. 1675, za czasów króla Jana Sobieskiego, między 5 tysięcznem rycerstwem polskiem, a 40 do 60 tysiącami ordy tatarskiej i Turków, szczęśliwa dla chrześcijan walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana III., który, według wyrażenia się dziejopisów późniejszych, »nie był nigdy tak



wielkim, jak na pobojuwisku pod Lwowem». »Na tej to równinie« — mówi współczesny historyk angielski Connor, osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjazny w ogólności Polakom — »odniesiono największe może zwycięstwo, o jakim kiedykolwiek sływały dzieje«. »Na tej to równinie« — wtórzy mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuski Salvandy — »rozstrzygnęły się losy podziwienia godnej kampanii, która może nie ma równej sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego«. »W dzień tego zwycięstwa« — donosi wreszcie urzędowa »Gazeta Francyi«, w nr. 103 z dnia 22 października r. 1675 — »zajęła Opatrzność widomiej niż kiedykolwiek nad Polską, i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tem przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkimi narody chroni go od nawału naj-sroższych nieprzyjaciół«.

»Czasy »zniesienia« ordy pod Lwowem, tylko ośmią laty wcześniejsze od szturmów armii tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami najwyższej potęgi półksiężycy. Większa połowa Węgier, znaczna część Ukrainy i Podola zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu Podolskim, tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku widział wojska tureckie, wdzierające się w coraz dalszą głąb państw chrześcijańskich, po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażoną na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta

od lat dwunastu pokój nader pomyślny, uwięczony rozpostarciem granic tureckich aż po twierdzę Neuhausel, o 10 mil od Presburga, pozwalający Turkom zbroid się do wyprawy wiedeńskiej. Cały ciężar zwycięskiej potęgi W. Sultanów spadł na omdlałe królestwo obydwóch Piastów ostatnich: króla Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzała ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz po raz, mianowicie w latach 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, zbrojnymi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzało się wojnach, sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcia wojenne, jak oblężenie Wiednia, powierzane bywały mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów<sup>1)</sup>, nad Dniestr, przeciwko Polsce, sam cesarz Mahomet IV po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszał dworem. Wtedy liczne oddziały armii tureckiej wydrążały w skałach pobraża naddniestrzańskiego lodownie dla cukierników sultańskich, — pola buczackie, okryte sieciami niezliczonej zgrai łowczych sultańskich, bawiły padyszacha nowym rodzajem polowania, — w Buczaczu poufni wysłańcy króla polskiego Michała ślubowali Turkom pokój tajemny, zniżający koronę polską do rzędu hołdownych podnóżków Porty, — a cesarz Mahomet IV powtarzał na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy, jedyne słowo: »Gdańsk!« — marzył o roz-

<sup>1)</sup> Pierwszy minister turecki.



przestrzenieniu krańców swojego państwa od morza Indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia — nie zniszczone. W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia, stanął Mahometowi IV mąż jeden, lecz mąż wielki, Sobieski. Daleki jeszcze całkowitemu dzisiaj uznaniu, prawie zapomniany, jak jego pobojowisko pod Lwowem, oparł się on całemu nawałowi islamu i bajecznie szczupłemi siły ocalił nie tylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy. Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa chocimska roku 1673-go, odwdzięczona wyniesieniem zwycięzcy na tron królewski; drugim przedkoronacyjna kampania z roku 1674, przezwana przez Francuzów »cudowną«, rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę; trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanii z r. 1675-go, nasza wygrana pod lwowską Górą Zamkową. O niej to bliższa nam wzmianka tutaj.

Chodziło Porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jej przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucyi<sup>1)</sup> nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięski oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż, chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześniej przed zimą. Stąd już o pierwszej wiosnie wyruszyły tego roku wojska

<sup>1)</sup> Wykonania.

sultańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron: od Dniepru i Dunaju, dwiema wielkimi armiami, »zdolnemi (jak mówiono) zawojować nie tylko Polskę, ale pół świata«. Jedną, tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieskie oddziały, prowadził Chan W. Selim-Gieraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy którymi słynął osobliwie stryj chański, Ssafo-Gieraj, zwany powszechnie od godności swojej »sułtanem Nureddynem«, t. j. wtórym z domniemanych następców tronu chańskiego. Drugiej armii tureckiej przewodził seraskier, czyli najwyższy dowódca wojsk ottomańskich, Sziszman Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi pięciu wezyrów, a nadto obydwóch gospodarów wołoskich. Razem liczone siły nieprzyjacielskie na 150 do 200.000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze broniła całej Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, cośkolwiek starodawnej husaryi, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej, razem zaledwie 25 do 30.000 ludzi, rozrzuconych maleńkimi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłym powiększeniu obrony, o pospolitem ruszeniu, uznanem oddawna za tłum wcale gnuśny, niesforne, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko cud, cud geniusza wojennego, korzystającego przedewszystkiem z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Nieukoronowany wciąż jeszcze król obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową, niż jako wojownik szablą, wlepił on



chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincji polskich, na Ukrainę li, czy odrazu na Ruś Czerwoną uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzili cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie. Jan Sobieski odetchnął. »Seraskier Ibrahim niedołęga!« — zawołał. — »Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armii!« Zaczem umyślnie ustępując mu, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrało im to wiele czasu i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie oblężone twierdze oparły się nieprzyjaciółom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycję umacniał sobie na Rusi. Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan z daleka szerokiem półkolem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Żałoszczach zamknął się z trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, książę Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie z taką samą liczbą wojewoda ruski, Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chorąży W. kor. Sieniawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desauteuils, w Trębowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze między Wołyniem i Podolem a Rusią najeżyło się warowniami, uzbrojonymi za staraniem wielkiego króla bogdaj mieszczaną, bogdaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny: traktatami o pokój. Na wezwanie chana W. udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu

Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Gereja zawiazać układy z Ibrahmem.

Tym sposobem postęp oręża ottomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV, czyli właściwie wszechwładny wezyr W., Ahmed Kiupriuli, dziedzic dostojenstwa, geniuszu i światoborczych zamysłów swego ojca, Mahometa, Kiupriuli zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czempredziej bezbronną Polskę z jej królem, albo dać gardło. Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbiera się trzecia pod dowództwem samego padyszacha na polach Adryanopola.

Dumny seraskier Ibrahim złożył się przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla polskiego, lecz nie wie, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się seraskier przyspieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najeżdźcze, licząc przeszło 100.000 ludu zbrojnego. Owi orędownicy polscy, stanawszy za tatarskiem pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali hardo przyjęci. »W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę« — ofuknął ich seraskier — »bo trzeciego słuchać nie będę«. — »Dwa za mało!« — odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż i prowadzić z sobą za wojskiem, jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzulmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie siola przed sobą, wbijano na



pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbarraską dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu dokoła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30.000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast i grodów uległo zniszczeniu. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawałnica nieprzyjacielska zdążyła już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został po raz wtóry głównym szansem królestwa. Troskliwy o niego król przybył spiesznie do miasta. Za nim zjechała także z całym dworem królowa. Przygotowano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać spolem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożone dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonii i ogniów w mieście. Wtem doszła go wiadomość o owem doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało w powitanie ze wszystkich dział, dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała

się wrogom. Dziki, zabobonny, oryentalną<sup>1)</sup> wyobraźnią mamiony Tatar i Turek, był aż nadto skory do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielą dopiero dniami przystępując do zdobywania Złoziec i chcąc zasięgnąć wróżby w tej mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Złoziec.

Wiadomo, jak dalece później sama obecność króla Jana rzuciła bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad nimi władzą, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posilków, znalazło się przy królu sześć do ośmiu tysięcy ludzi, którymi dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, jenerał Korycki, pułkownikowie Międzyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnymi, poza ową nagą piaskową górą i odroślami bocznymi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacjach ponad łązienkami Kisielki ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwem mogło być położenie, jak-

<sup>1)</sup> Wschodnią.



kolwiek ufano wojennej sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela i, jak przed ośmiu laty w Podhajcach, pobije go podjazdami, lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapal armii tureckiej, wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Pluchowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i W. chana, Selim-Gieraja, odbywała się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprowadzić znaczną część armii pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tem wyraźnie była mowa) aż po Lublin albo Jarosław, a potem z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nade wszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała orda, z pozostawieniem jedynie szczupłej garski przy chanie i jasyrze, a przybrawszy natomiast ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem baszów Ssaffa-Gieraja, Nureddyna i Adzi-Gieraja, w 40.000 wybrakowanych junaków całym pędem na Lwów. Dnia 23 sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek złoczowski, skąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski przez kilka godzin armatnim smagał ją ogniem. Tegoż samego dnia, w piątek przed św. Bartłomiejem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o gro-

zącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączynskiego, który w 2.500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniowscy nie wiedzieli dokładnie jaka właściwie siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski i przypuszczono w rzeczy powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obydwóch połączonych armii nieprzyjacielskich, Oczekując co chwila ich przybycia, pospieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w rękę na mury, lud, kobiety, duchowieństwo zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającymi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzyły z wyższego zamku armaty, dając znać mieszkańcom przyległych siół, aby uciekali przed ordą nadciągającą. — W niedzielę 25 sierpnia, o samem południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących stamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: nieprzyjacieli! Zatrzymany do tychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królową, która wraz z ludem udała się w procesyi do kościoła katedralnego, a król z całym dworem wojennym pognął do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórz zamkowych i przyległych (skąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjacieli znajdował się w odległości Bilki królewskiej. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpnio-



wej rozpromieniła cały widnokrąg. Wtem naraz zaczęła niebo okropną tuczą<sup>1)</sup> nad Bilką i ciągnącymi tamtędy nieprzyjaciółmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Bilce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie okoliczne pola pobieliał. »Nie sprzyja Bóg zamachowi« — przeniknęło tajemną trwogą orde i Turków, głośnie otuchą chrześcijan. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swymi wrażenia, zachęcił król do tem ścisłego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięcio- a najwięcej ośmio-tysięczne wojsko królewskie otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska pod wodzą księcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wyprawił król gościńcem sychowskim aż ku Bóbrce, aby z tej najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu i nie dać obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedna część, czyli prawe skrzydło, pod jenerałem Koryckim, stanęło poza rogatką Łyczakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego kor. Sieniawskiego i podkomorzego bełskiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem kor. Bidzińskim, kilka husarskich, siedem pancernych, trzy

<sup>1)</sup> Chmura.

kozackie, i cokolwiek piechoty z niewielką działek razem mało co nad 2000 ludzi.

Położenie obozu było według szczegółowych doniesień takie, iż, mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojuwiska ku Żółkwi, należało naprzód iść w górę ze 300 kroków, potem drugich 300 grzbietem wzgórz między obozem a płaszczyzną, a wreszcie ciasnym wąwozem, najeżonym zarostami, spuścić się na płaszczyznę. Ku temuż wąwózowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził kilkuset strzelców, ukrytych w gęstwie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jednym ze wzgórz nad wąwozem zatoczył kilka dział, zdolnych ostrzeliwać stamtąd równinę.

Nie za tą jednak osłoną, nie w samymże obozie, zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go z nieznacka, zamierzył król i dzisiaj użyć tej zuchwałości, szczęśliwej, gdy posilkowanej geniuszem. Zaczem, obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko swoje nad wzgórze nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniej użyteczne w spotkaniu się z lekkim, pierzchliwym jak wiatr Tatarstwem, niewielką wróżyły tam skuteczność, przeto zabłysnął królowi nagle jeden



z owych pomysłów, który, dogadzając naprzód pewnej poszczególniej potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwno mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiej, wydał król rozkaz, aby cała husarya złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopie, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopii i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmiernej podówczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprovizowana tak niespodziewanie husarya, nie mająca innego przeznaczenia, jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, w dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem geniuszu ubożuchna armia obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska, wzgórze i lasy zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci, którzy w innym razie byliby blizcy rozpaczcy, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód wśród gromów burzy gradowej, wśród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, wśród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa ukazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórz zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężcem, rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana

polnego Radziwiłła z relacją<sup>1)</sup>, iż niemasz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Nadeszłem z sobą wojskiem wzmocnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husaryę husaryi, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Poczem w zamiarze zwarcia się wstępny bojem z pogaństwem, sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórz na płaszczyznę i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewem skrzydle pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błota koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przemożniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać. W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko i z trzykrotnym okrzykiem »Żyje Jezus!« na ustach rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewem skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytej w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórz. Rażne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone

<sup>1)</sup> Sprawozdaniem.



w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa, aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysilen. Złamany nimi wróg stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarya na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie. A równie nagle w odwrocie, jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach. O pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widnokręgu. »Jakby widmo straszliwe« — mówi jeden z współczesnych — »zjawiała się ta ogromna armia w przeciągu kilku godzin przed obleżonem miastem i znikła«. Tylko czerwieniejący z dala pożar Lesienic, Mikłaszowa, Kamieniopola, zapalonych przez ordę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ścigać uciekających. Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagle rozsypka tak przemocnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedziano w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armią Ibrahima i chana stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król pozostać wojsku przez noc na

pobojowisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz w niebogłosey brzmiały modły dzięczynne. Po Panu Bogu i królu, dopomogli do zwycięstwa najwięcej szwagier królewski, hetman polny litewski, książę Michał Radziwiłł, — późniejszy wojewoda wołyński, a terażniejszy podskarbi nadworny, Ałanazy Międzyński, podkomorzy chełmiński, i generał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Aleksander Polanowski, i sławny kawaler Maltański, a później kasztelan krakowski, książę Hieronim Lubomirski.

Jedno z owych dziwnych zwycięstw turecko-polskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazyi oryentalnej, sam postrach imienia dowódcy chrześcijańskiego decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwowem cale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali trupy z sobą i spalili je w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26 sierpnia ujrział armię nieprzyjacielską w ucieczce, już o 8 mil od Lwowa. Jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile, ciągnąc pierwiej pod Lwów, uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającymi nadbiegły do obozu Ibrahima i chana. Przedstawiono króla polskiego panem



ogromnej armii, w zwycięskim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obydwóch wojsk kazali coprędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkolwiek pomyślnością wojenną, postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trębowli. Dowódzca tameczny, Chrzanowski, utrzymał się aż do przyobiecanej odsieczy króla. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20.000 żołnierza, pościaganego z bezpieczniejszych w tej chwili twierdz, i z tem wielkiem dla niego wojskiem pospieszył ścigać podwójną armię nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180.000 ludzi.

Dnia 6 października dowiedział się przerażony seraskier pod Trębowlą o nadciąganiu króla, a w kilka dni później, po nagłym ustąpieniu Ibrahima popod Kamieniec za Dniestr i podobnemże ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanię roku 1675-ga. Z kampanią w r. 1675-spełził na niczem jeden z owych gwałtownych szturmów, jakimi Oryent<sup>1)</sup> od wieków uderzał w świat zachodni. Na owej szeroko rozpostartej płaszczyźnie, po której codziennie spoglądamy z góry zamkowej, odegrała się jedna z najheroicniejszych<sup>2)</sup> scen, jakimi zachód opierał i oparł się tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześcijaństwo zwycięskim pu-

<sup>1)</sup> Wschód. — <sup>2)</sup> Najbardziej bohaterskich.

klerzem zasłonię — oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednym z mniej znanych, acz najwspanialszych wdzięków, przyozdabia codzienną przechadzkę naszą. Patrząc na owe domki poblizkiej wsi Zniesienia, które na prawo od łązienek Kisielki wznoszą się na wzgórzach i wśród parowów, widzimy żywe pomniki odświeżonego tutaj wypadku. Wieś Zniesienie, nazwana według wiadomej tradycyi od zniesienia Tatarów w r. 1675, stanęła na jednym z najpamiętniejszych punktów tej bitwy. U współczesnych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwa pod wsią Lesienicami.





KAROL SZAJNOCHA.

SZKICE HISTORYCZNE

WNUKA KRÓLA JANA III.



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1909



*K. iant 310. 306*

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO  
W BIAŁEJ.

Księgozbiór: *U.*

## WNUKA KRÓLA JANA III<sup>1)</sup>.

Po śmierci króla Jana III. rozproszył los w dziwny sposób jego rodzinę. W niespełna 20 lat od zgonu ojca każda z pozostałych sierot w innej żyła ustroni. Wdowa królewska, Marya Kazimiera, przeszło siedemdziesięcioletnia matrona, spędziwszy kilkanaście lat w Rzymie, oczekiwała śmierci we Francji, w zamku Blois. Najmłodszy z synów, Konstanty, pozostał w ojczystym gnieździe, w Żółkwi. Średni, Aleksander, żywy obraz zmarłego króla, gościł w Rzymie, w klasztorze Kapucynów. Najstarszy wreszcie, królewicz Jakób, zaślubiony z księżniczką Palatynsko-Neoburską Jadwigą, mieszkał na Śląsku, w mieście Olawie<sup>2)</sup>, wypuszczonem mu ugodą familijną od szwagra, cesarza Leopolda.

<sup>1)</sup> Karol Szajnocha ur. 1818 w Galicyi, umarł we Lwowie 1868. Napisał kilka dramatów, głównie jednak pracował na polu historii i tu największe położył zasługi. Najważniejsze prace historyczne Szajnochy: »Jadwiga i Jagiello« i »Szkice historyczne«.

<sup>2)</sup> Królewicz Jakób wypożyczył cesarzowi Leopoldowi sumę, zapewnioną przez siebie żonie na wypadek jej owdowienia, i otrzymał za to od cesarza miasto Olawę z przyległym powiatem, jako zastaw, w którym zwykle przemieszkował.



Oprócz młodo zmarłego syna Jana, nie dał Pan Bóg męskiego potomstwa dworowi olawskiemu. Przyozdabiały go zato trzy piękne córki, Kazimiera, Karolina i Klementyna. Najstarsza z księżniczek, Kazimiera, wychowana przy babce w Rzymie i w Blois, miała w porze naszego opowiadania lat dwadzieścia i trzy; młodsza, Karolina, poślubiona później z kolei dwóm z królewskim domem Francyi spokrewnionym książętom de Bouillon, liczyła lat dwadzieścia; najmłodsza Klementyna zaczęła rok siedemnasty. Przez matkę Jadwigę, której jedna rodzona siostra była za cesarzem Leopoldem, druga za hiszpańskim królem Karolem, trzecia za Piotrem portugalskim, zostawały wszystkie trzy wpuczki Jana III. w stosunkach blizkiego powinowactwa z najpierwszymi dworami europejskimi. Z tym blaskiem urodzenia łączyły wszystkie najpiękniejsze przymioty duszy. Najstarsza siostra zdołała już w latach dziecięcych wzbudzić bystrością umysłu podziwienie papieża Klemensa XI. Najmłodszą z sióstr, Klementynę, bohaterkę szkicu naszego, córkę chrzestną tegoż papieża, od którego także otrzymała imię chrzestne, obaczmy wkońcu wzorem cnót chrześcijańskich. W obecnej porze młodości nie umiano nachwalić się jej wdzięków. Nie był więc bez powabu książęcy dwór w Olawie.

Owóz do tego dworu przybył w lipcu roku 1718 nieznany nikomu cudzoziemiec, irlandzki szlachcie Murray, niosący ważną domowi wieść. Zawierała ona prośbę młodego Jakóba Stuarta, uważanego w całej zachodnio-południowej Europie za prawego króla W. Brytanii, o rękę najmłodszej

z księżniczek, Klementyny. Lubo Stuartowie żyli obecnie na wygnaniu, czyniła ta odezwa wielki zaszczyt Sobieskim. Królewski ród Stuartów był dla całego katolickiego świata przedmiotem najgłębszej czci. Nad wielkość światową, nad blask trzech okazałych koron<sup>1)</sup>, świeciła w nim rzadka gorliwość religijna. Już piękną a nieszczęśliwą Maryę Stuart, surową katoliczkę, prześladowaną i zgubioną przez stronnictwo protestanckie, otaczał poniekąd urok męczeństwa religijnego. Jej wnuk, angielski król Karol I., ścięty w rewolucyi z roku 1649, przypłacił życiem swoją przychylność ku wyznaniu katolickiemu. Młodszy syn tegoż Karola, późniejszy król Jakób II., wróciwszy do korony, wołał na nowo pójść na wygnanie, niż ostygnąć dla swojej wiary. Żyjąc na ziemi francuskiej, wychował on w tych samych zasadach syna Jakóba, naszego przyjaciela Sobieskich. Młody Stuart, po śmierci ojca przez wszystkie prawie katolickie dwory prawym monarchą Anglii uznany, nie odrodził się od przodków. Pobożny, łagodnego usposobienia, słodki w pożyciu, trwał on wiernie w katolicyzmie. Na tronie angielskim siedziała jego rodzona siostra Anna, oddana wyznaniu anglikańskiemu. Gdy mu ze strony siostry zaofiarowano następstwo tronu, byle zmienił wyznanie, Jakób wzgardził ofiarą. To podwoiło powszechne dlań uwielbienie, lecz nie przeblagało losów przeciwnych. Po niedawnem zawarciu pokoju między Anglią a Francją utracił młody Jakób dyplomatyczną

<sup>1)</sup> Angielskiej, szkockiej i irlandzkiej.



opiekę Ludwika XIV. Pozostały mu jeszcze współczucie stolicy apostolskiej, życzliwość katolickiej Hiszpanii i wierność starodawnego stronnictwa w Anglii i Szkocji. Polegając na tej podporze, umyślił młody Stuart, dwoma laty przed ślubnem poselstwem do Olawy, wystąpić z swoim prawem przeciwko następcy królowej Anny, Jerzemu Hanowerskiemu, dalekiemu bratankowi domu Stuartów. Nie sprzyjało mu przecież szczęście. Stronnictwo króla Jerzego przeważało szalę na swoją stronę. Jakób musiał wrócić do Francji. Przyłgnęła mu odtąd smutna nazwa pretendenta. Opuszczony od Burbonów<sup>1)</sup>, udał się wygnaniec królewski pod opiekę dworu rzymskiego. Panujący jeszcze Klemens XI. zaprosił go naprzód do Awinionu, potem do Włoch. Przyjęty tam z wszelkimi honorami królewskimi, otrzymał młody Stuart zapewnienie corocznych sum ze skarbu papieskiego i świetną rezydencję<sup>2)</sup> w Urbino. Nim zaś przyszłe wypadki miały mu ułatwić powrót do tronu, zależało opiekunom i stronnikom Jakóbowym na zabezpieczeniu potomków sprawie królewskiej. Wszczęły się więc zabiegi o wyswatanie młodego króla. Wchodziły w to rady i propozycje różnych dworów przyjaznych. Stolica apostolska oświadczyła się za rodziną Sobieskich, mianowicie za najmłodszą z córek królewicza Jakóba, księżniczką Klementyną. Obraz, jaki o niej zrobiono Jakóbowi, wzbudził w nim szczerą skłonność. Późniejsze okoliczności zamie-

<sup>1)</sup> Dynastia Burbonów panowała we Francji.

<sup>2)</sup> Miejsce zamieszkania.

niły to uczucie w najwyższą z obojej strony miłość. Przekonywają o tem wszelkie kroki Jakóba, wszelkie wyrazy jego listów, całe domowe pożycie obojga w latach następnych, osobliwie zaś upewnienia świadków naocznych, nawet takich, którzy byli przeciwni połączeniu się młodego króla z Sobieską, a których zdaniem, można mu było tylko jedną zarzucić wadę t. j. zbyt przywiązanie do Klementyny. Z prawdziwą tedy obawą serca wyprawił Jakób z Urbino (24 czerwca 1718 roku) do rodziców księżniczki Klementyny i do niej samej listowną prośbę o rękę. »Dawno już — pisze Stuart do księżniczki w tym pierwszym liście — przymioty twoje, Pani! i twa osoba są celem uwielbienia mojego. Pochlebstwa i próżne słowa nie umiałyby zadowolić duszy, jak twoja. Mam jednak błogą nadzieję, iż nie odrzucisz ofiary serca, które Ci się oddaje bardziej z skłonności niż z obowiązku, a które nie zna innego życzenia, jak tylko widzieć Cię zawsze szczęśliwą. Twoje cnoty, Pani! ściagną nowe błogosławieństwa na słusność sprawy mojej i podwoją gorliwość i przywiązanie moich wiernych poddanych. Oby ten domiar osobistego szczęścia mojego stał się początkiem dalszej pomyślności, którą dzieląc z Tobą, cenilibym tylko o tyle, o ile ona Ciebie dotyczy«...

Żadne przeszkody nie przeciwiły się życzeniom Jakóbowym ze strony książęcego dworu w Olawie. Ojciec księżniczki, królewicz Jakób Sobieski, dawał mu od lat wielu dowody szacunku i życzliwości. Matka, księżniczka Palatyńska Jadwiga, na



mocy dawnego skoligacenia<sup>1)</sup> rodziny Palatyńskiej z domem Stuartów kuzynka Pretendenta, gotowa była wspierać go wszelkim swoim wpływem u córki. I taż córka nareszcie nie mogła prawdopodobnie zachować się obojętnie. Jej nadzwyczajna żywość uczucia, cechująca ją w całym dalszym przebiegu życia, jej młodociana wyobraźnia i poświadczona późniejszym życiem wzniosłość umysłu, musiały upodobać sobie w obrazie tego rycerskiego, nie-szczęśliwego młodzieńca, przynoszącego jej w darze berło trzech królestw, a proszącego ją o przychyłność, jako o jedyną łaskę i pociechę w niedoli. Wiszący nad nim oręż prześladowania, wspaniała gra fortuny, do jakiej zniewalały go losy, tem głośniejsze za nim w szlachetnem a śmiałem mówily sercu. Głębokość i trwałość uczuć, do jakiej księżniczkę później zdolną ujrzymy, wzmogły początkową przychyłność z przeciągiem czasu w przywiązanie bez granic. Odpowiadając tedy wzajemnością królowi, poświęcała mu księżniczka całą duszę na zawsze. A odpowiedź jej wypadła w istocie pomysłnie dla Jakóba. Księżniczka Klementyna została zaręczoną solennie<sup>2)</sup> Stuartowi.

Tak szczęśliwym początkom groziło przecież niemale nadal niebezpieczeństwo. Przeciwnie Jakóbowi mocarstwa, zwłaszcza W. Brytania, widziały z niechęcią zamiśl jego zaślubin. Dwór austriacki, wspierany przez Anglię w świeżo ukończonej wojnie hiszpańskiej, pozostawał w najściślejszym przymie-

<sup>1)</sup> Spokrewnienie.

<sup>2)</sup> Uroczyscie.

rze z królem Jerzym. Królewicz Jakób Sobieski, tak swoim zamieszkaniem w austriackim podówczaś Śląsku, jakoteż swoją familijną zawisłością od dworu cesarskiego, obowiązany był nie postanawiać o ręce córki bez rady i zezwolenia w Wiedniu. Niezasięgnięcie zdania cesarskiego, wraz z przeciwnieniem się całą sprawą widokom Anglii, naraziły projekt ślubny na gniewny opór Austrii i Anglii. Tak potężna opozycja<sup>1)</sup> była w stanie zgruchotać nierównie większe zamiary. Zamiśl oblubieńców olawskich, jeśli nie chciał rozbić się o tę skałę, musiał niezwykle używać ostrożności, musiał najgłębszą osłaniać się tajemnicą. Stąd jeden skromny oddawca listu, Irlandczyk Murray, wierny towarzysz wygnania Jakóbowego, starczył za całą ambasadę<sup>2)</sup> swadziebną. Pakiety wiezionych przezeń listów musiały być niegrube, aby w razie potrzeby dały się ukryć z łatwością. Nakoniec uznano za rzecz stosowną, nie kłaść nawet podpisu w listach. Taka tajemniczość ubarwiła cały stosunek kolorytem romantyczności. Przeszkody zaostrzały moc pożądanja. Najżywsze też wzruszenie serca przebijają się we wszystkich listach Stuarta. »Jestem uszczęśliwiony — pisze on do księżniczki w 6 tygodni po pierwszym liście (3. sierpnia), odpowiadając na otrzymane już przyzwolenie z jej strony — jestem pełen radości, jaką tylko ty, Pani, wzbudzić możesz, lecz jestem oraz pełen niepokoju i trwogi. To niech maluje Ci stan, w jaki wprowadziłaś mię twoim listem, w którym wyczytuje zapewnienie

<sup>1)</sup> Opór, sprzeciwienie się.

<sup>2)</sup> Poselstwo.



szczęścia mojego. Lecz szczęście to pozostanie tak długo niezupełnem, póki nie przyjdzie chwila, w której przy moim boku Cię ujrzę. Nie zwlekaj więc, (zaklinam Cię, o Pani!) dopełnić szczęścia mojego, i ponieważ wszystko, co tylko ma pozór niedoskonałości, byłoby niegodnem Ciebie, dokończ, coś tak błogo zaczęła. Potrzeba, abys nie tylko zezwoliła na rychły wyjazd, lecz abys go owszem sama przyspieszyć chciała. Tylko to jedno może uskromić cierpienia twego wiernego sługi i wielbiciela. Przebac otwartości listu mojego. Pochodzi ona z serca, wylanego dla Ciebie, Pani! A dając ten jedyny raz powodować się prośbą i radą moją, staniesz się na zawsze (że śmiem użyć tego wyrazu) panią swojej własnej i mojej woli...«

Również gorące prośby zasyłał Jakób rodzicom. Stało się im zadość w niedługim czasie. Mając wzgląd na niepodobieństwo przybycia Stuarta do Olawy, wyjechała królewiczowa Sobieska z córką do Włoch. Podróż odbywała się *incognito*<sup>1)</sup>. Miano ominąć Wiedeń. Dla uniknienia uwagi zaniechano wszelkiej wystawności w podróży. Kilku przybocznych dworzan składało służbę. »Skromna biała suknia — pisze narzeczony do ojca — dostateczną jest w wielkiej żałobie mojej«. Wyprawiony na przeciw damom poufnik Stuartów, niejaki p. de Hay, służył za przewodnika. Sam młody Stuart oczekiwał oblubienicy w Bolonii.

Wtem po całotygodniowej przerwie w kore-

<sup>1)</sup> Bez swego nazwiska, pod innem nazwiskiem.

spondencyi doszła go wiadomość, iż obiedwie damy zostały powstrzymane w Insbruku. Nie chciano im żadną miarą pozwolić dalej jechać do Włoch. Wracać ze wstydem do domu nie chciały. Pozostawiono je więc w mieście pod strażą. Wypadek ten nie był zupełnie niespodziewany. Nie przeszkodziło to przecież, iżby nie zabolął gwałtownie. »Pozwalam Ci, Pani, wyobrazić sobie — przemawia Jakób w liście do narzeczonej nazajutrz po otrzymaniu wieści bolesnej — jak mnie dotknął ten cios. Nie chcę atoli szerzyć tu skarg i lamentów, na których zaprawdę nie zbywa, które przecież ani są godne, aby Ci je składać w ofierze, ani w czemkolwiek przyniosłyby Ci ulgę. Tylko tę jedną niech mi wolno będzie zrobić uwagę. Oto teraz właśnie mamy sposobność okazać, iż obopólnie jesteśmy godni siebie. Okażmyż to naszą nieugiętą stałością i wytrwałością, którą przy łaskawej pomocy niebios złamiemy niewątpliwie wszelkie zawady, stawiane szczęściu naszemu. Serca nasze stworzone są dla siebie. Boskie i ludzkie prawa mówią za nami. Tylko nasza własna małoduszność byłaby w stanie rozerwać, co Bóg złączyć zamierzył. Błagam Cię, Pani! więc i zaklinam: bądź stałą! Nie zezwól nigdy na bezowocny powrót do domu. Najmniejsza uległość w tej mierze wszystkoby zniweczyła. A stałością swoją, swoim (że tak powiem) uporem, wszystko pokonasz! Ale czemuż całe brzemie tego smutnego położenia spada na Ciebie samą!... Jeśli mniemasz, Pani! że obecność moja może być użyteczną, racz tylko skinać! Będę miał skrzydła, skoro przemówisz. Gdy idzie o przysłużenie się Tobie, niczem trudy, niczem nie-



bezpieczeństwa. I wolałbym być więźniem razem z Tobą, niż panować bez Ciebie»...

»List W. K. Mości — odpowiada księżniczka w pięć dni później — przyniósł mi wielką pociechę w smutku. Zatrzymują nas bez przyczyny. Mam przecież nadzieję, iż Bóg nie pozwoli dręczyć nas długo. Bądź więc cierpliwym, Panie! Przedewszystkiem nie narażaj się na daremne niebezpieczeństwa. Księżna, matka moja, nie ustąpi w niczem, bądź pewien. Co do mnie, czuję zanadto mocno, iż tu idzie o szczęście moje i honor mój, abym nie miała naśladować jej wytrwałości. Zresztą i serce moje tak każe. Cokolwiek tedy stanie się, będę upartą do ostateczności i nie oddam ręki mojej nikomu, oprócz w. Król. Mości».

Wszakże i przeciwnicy umieli być wytrwałymi. Nie pomogły najusilniejsze starania o uwolnienie księżniczek. Napróżno domagały się tego przesłane do Wiednia przedstawienia oblubieńca i ojca. Daremnie udał się Pretendent spiesźnie do Rzymu, prosząc papieża o protekcję. Klemens XI., główny skojarzyciel tego związku, nie omieszkał wystawić się u dworu. Po zasięgnięciu listownych dowodów, iż księżniczka Klementyna z własnej, nieprzymuszonej woli uczyniła Jakóbowi przyrzeczenie małżeństwa i trwa stale w postanowieniu, nastąpiła powtórna odezwa papieska. Wszelkie atoli zabiegi i przedłożenia pozostały bez skutku. Niewola księżniczek w Insbruku przeciągała się od miesiąca do miesiąca, przez całą zimę, aż do wiosny roku 1719.

W takim składzie okoliczności pozostawała

tylko myśl o ucieczce. Powziął ją rychło Pretendent. Już w kilka tygodni po uwięzieniu nadmienił o tem w liście do narzeczonej. Jednocześnie stanął w Insbruku śmiały powiernik Stuartów, Irlandczyk Wogan, mający wykraść księżniczkę. Ta jednak oznajmiła, iż tylko za zezwoleniem rodziców opuści Insbruk. Rodzice zaś, z bardzo zrozumiałych skrupułów, czynili zrazu trudności. Chodziło więc naprzód o nakłonienie księstwa obojga. Użył Jakób najusilniejszych ku temu środków. W poufnej audyencji<sup>1)</sup> u papieża Klemensa XI. okazał listy księżniczki, przekonywające o ścisłości zawartych pomiędzy nimi ślubów. Ojciec św. uznał, iż wobec tak solennych z obojej strony zobowiązań, żadne przeszkody nie powinny utrudniać drogi do błogosławieństwa u stóp ołtarza. Wyszedł zatem w tej myśli jeden nowy list do cesarza, żądający wolności dla narzeczonej; drugi zaś (10 grudnia) do jej ojca, królewicza Jakóba, przedstawiający mu, iż nie tylko nie ma prawa wzbraniać córce drogi do Włoch, lecz owszem ma powinność dopomódz jej do połączenia się jakimkolwiek sposobem z oblubieńcem. Podziękowała za to księżniczka swemu ojcu chrzestnemu, Klemensowi XI. (25 grudnia), oddając się jego opiece i ponawiając przyrzeczenia wierności narzeczonemu. To dało powód do listu samego papieża (13 stycznia r. 1719) do księżniczki, w którym Ojciec św., obok nader łaskawych upewnień przychylności, utwierdził ją najmocniej w zamiarze dopełnienia copre-

<sup>1)</sup> Przyjęcie, posłuchanie.



dziej zobowiązań, będących w istocie, jak list papięski wyraża się, »takiej wagi, iż uczyniwszy je raz, należy z narażeniem wszystkiego starać się o jak najrychlejsze przywiedzenie ich do skutku. Co do nas — kończy papież — możesz W. Książęca Mość liczyć na to, iż nie przestaniemy wspierać ją w tej ważnej sprawie całą naszą powagą i usilnością, jak tego żądają po nas niezrównane zasługi króla angielskiego około kościoła i religii, tudzież owe niemniej wielkie zasługi, jakie około obojga położył nieśmiertelnej pamięci król Jan III., dziad W. Książęcej Mości«. — Dopiero tak rozstrzygający głos uchylił wątpliwości rodziców. Przystali oboje na projekt ucieczki córki do Włoch. Siedemnastoletnia heroina <sup>1)</sup> tej niebezpiecznej przygody, gotowa poświęcić wszystko dla swoich słubów, pragnęła jak najspieszniej ulecieć z więzów. Nim jednak przyszło do czynu, zdarzył się niespodzianie wypadek, który offerze Klementyny jeszcze nierównie większą nadać miał wartość.

W czasie jej siedmiomiesięcznego więzienia zanosło się na wojnę między Hiszpanią a Anglią. Każde przeciwne Anglii mocarstwo starało się o zawiązanie stosunków z Pretendentem. Hiszpania oświadczyła przed całą Europą zamiar przywrócenia go na tron przodków. W tym celu, wśród najskrzętniejszych zabiegów o uwolnienie księżniczki, zaproszony został Stuart na dwór madrycki. Czekano go tam nadzwyczajnie świetne przyjęcie, czekała go korona. Młody Jakób nie mógł nie korzy-

<sup>1)</sup> Bohaterka.

stać z pomyślnego zbiegu okoliczności, którym lada zwłoka groziła zgubą. Wszakże niezwłoczne udanie się z Włoch do Hiszpanii oddalało go od kochanki i to właśnie w tej chwili, kiedy ona z narażeniem życia i czci spieszyła do jego boku. W tak trudnem położeniu tylko wspaniałomyślna wyrozumiałość ze strony księżniczki mogła ocalić sprawę tronu i serca. Nie wiedząc, czy Klementyna uniesie się tem uczuciem, przebywał oblubieniec najboleśniejszą walkę między obowiązkami polityki, a szczerem życzeniem serca. Maluje się ona w niespokojności, z jaką Stuart w długim, nieśmiałym liście zapowiada księżniczce (7 lutego 1719) swój wyjazd do Hiszpanii. »Jakże smutną i okropną dla mnie wiadomość — opiewa początek listu — muszę Ci donieść, moja najdroższa Klementyno! I w jakiż sposób potrafię oznajmić Ci, iż w tej właśnie chwili, kiedy Twój ojciec bezprzykładnie szlachetnem postępowaniem daje mi najwyższy dowód heroicznej przyjaźni i wytrwałości — kiedy Ty pełną trudów i niebezpieczeństw ucieczką chciałaś dopełnić miary swoich łask dla mnie — kiedy stałość Twoja miała zajaśnić tak wielkim blaskiem i objawić się w tak czuły i zniewalający mnie sposób — że w tejże właśnie chwili opuszczam Cię niejako, porzucam Cię napozór, aby się w inny prawie świat udać. Oto nowina, której Ci mam udzielić. Zbierz, błagam Cię, całą odwagę i słuchaj mnie z cierpliwością. Nie chcę tu rozwodzić się w rozumowaniach politycznych. Jakóż uwierzysz mi (jestem pewien) na słowo, gdy Ci powiem, iż zostaję pod władzą tak przemocnej



i naglej konieczności, że nie uledez jej, byłoby rzec się rozumu. Miłość moja dla Ciebie nie zna granic... Ale jakkolwiek Cię kocham, wolałbym stracić Ciebie, niż stać się niegodnym serca Twojego, nie spiesząc śmiało na stanowisko, które mnie wzywa. — Z takimto uczuciem poddaję się surowym wymaganiom wypadku, który ma wszelkie cechy romansu, wyjąwszy swoją wielką rzeczywistość...

Nie mogąc powierzać listowi bliższego wyjaśnienia powodów tak naglej podróży do Hiszpanii, rozpisuje się Jakób następnie o dalszych szczegółach spodziewanej ucieczki oblubienicy do Włoch. Celem jej podróży ma być Rzym. U granic państwa kościelnego spotka ją pan Murray, ów pierwszy poseł swadziebny do Olawy, mający upoważnienie zaślubić Klementynę w imieniu Jakóba Sturta. Wszelkie warunki tej prokuracyi<sup>1)</sup> służą do zapewnienia bezpieczeństwa, przyszłości i posagu księżniczki. Sporządzony na jej korzyść testament przyszłego małżonka ma zastąpić przynależną z jego strony oprawę wdowią. Jako obrączkę ślubną pozostawia narzeczony księżniczce pierścień, jakiego niegdyś przy podobnymże akcie używał ojciec Jakóba, król Jakób II. Przybywszy do Rzymu, obierze sobie księżniczka mieszkanie albo w pałacu swojego małżonka, albo w którymkolwiek klasztorze, jako miejscu wolnem od wielu niedogodności ceremonialnych. Do usług swoich znajdzie

<sup>1)</sup> Zastępstwo w jakiejś czynności, np. przy obrzędzie ślubnym.

księżniczka w Rzymie kilka znakomitych pań angielskich, między temi księżnę de Mar, małżonkę jednego z głównych przywódców sprawy Jakóba, hrabinę de Nithsdail i panią de Hay. Panowie Murray i Wogan mają czuwać nad jej ucieczką i dalszym pobytem we Włoszech. W razie niepowiedzenia się ucieczki, sama tylko przyszłość okaże, co dalej czynić wypadnie. — Zdaje mi się — kończy Jakób — że nie mam nic więcej dodać do tego przydługiego już listu, jak tylko, pożegnać Cię, droga Klementyno! z całą miłością, jaką czuję dla Ciebie, i pozostawić Cię w ręku tej Opatrzności, której i ja z mojej strony powierzam się z ufnością. Twoja niewinność i cnoty Twoje (mam tę pewną nadzieję) otoczą mię błogosławieństwem Niebios, na które ja sam nie zasłużyłem. Gdziekolwiek będę, jestem Twoim na wieki. Stałość Twoja będzie moją pociechą; niechże moja wierność będzie wzajem podporą Tobie. Bylem Ciebie posiadał — dość dla mnie szczęścia. Bez Ciebie wielkość, nawet korona byłaby mi ciężarem. Obowiązek nakazuje mi ubiegać się o nie, w istocie jednakże mają one tylko tyle dla mnie powabu, o ile je z Tobą podzielać mogę. Przebacz temu wylaniu serca, które nie oddycha, tylko Toba, nie kocha, jak tylko Ciebie, i tylko u Twoich kolan spoczynek znajdzie — co niebawem (tuszę) nastąpi. Odjeżdżam za chwilę i, żegnając Cię jeszcze raz, błagam, zaklinam Cię: śpiesz czempredzej do Rzymu i ufaj mojej miłości.

Potrzeba było zaiste tak czułych słów, aby pokrzepić serce księżniczki. Obarczyły ją bowiem



młodą, prawie jeszcze dziecinną, ciężkie smutki i przeciwności, zdolne dojrzałą rozbroić duszę. Coraz ściślejszy związek ze świetnem, ale nieszczęśliwem imieniem doprowadził ostatecznie do potrzeby narażenia się na dwuznaczną, trudną przygodę. W chwili przygotowań do tej ofiary przedmiot, dla którego ponieść ją chciała księżniczka, zniknął jej z oczu. Wszystkie niebezpieczeństwa tej ucieczki, podjętej przez 17-letnią dziewczynę, samą jedną wśród obcych ludzi, wystawioną na długie trudy, na możność śmiertelnych zniewag, nie miały nawet tej jedynej nagrody, iżby ją nakoniec zaprowadziły w dom oblubieńca. Ustały nawet listy od niego, ustały wieści o nim. Wszelkie widoki osobistego z nim połączenia rozplywały się w cale mglistą niepewność. Owszem, nie obeszło się bez złośliwych pogłosek, utrzymujących za rzecz pewną, iż zaręczyny z Stuartem w nic się obróca, ile że narzeczony przed swoim wyjazdem do Hiszpanii rozkochał się w Bolonii w córce możnego domu Caprara i miał już nawet układać się o jej rękę. Ledwie wyraźne w tej mierze zaprzeczenie, uczynione przez oblubieńca w jednym z poprzednich listów do ojca narzeczonej, niejako sprawiło ulgę. I trwał ten smutny stan niepewności przez długie trzy miesiące. Żaden przecież z tych wielu dni nie zachwiał stałości Klementyny. Codziennie oczekiwano przybycia tajnych wysłańców jakóbowych, mających uwieźć skrycie pięknego więźnia. Różne przeszkody nie dozwoliły im zgłosić się prędzej w Insbruku. Musimy zapoznać się z nimi bliżej.

Jeszcze przed półroczem zlecił był Pretendent

(jak wiemy) swojemu towarzyszowi wygnania, p. Wogan, sprawę uwolnienia księżniczki. Ówczesny opór rodziców nie odjął nadziei dopełnienia później życzeń królewskich. Tymczasem zwiedzał Wogan z kolei różne dwory książęce, szukając pomocników do swego trudnego, a zwłaszcza podrzędnym sprawcom, srodze niebezpiecznego dzieła. Znalazł ich wreszcie w Alzacyi, w pobliżu Strasburgowi miasteczku Szelstadt, pomiędzy oficerami francuskiego pułku Dillon, rodowitymi Irlandczykami. Byli to kapitanowie Toul, Misset i major Gaydon, autor pamiętnika o ucieczce księżniczki, z którego głównie wiadomości nasze czerpiemy. Ponieważ ułożony przez nich plan przedsięwzięcia wymagał współnictwa dwóch kobiet, więc wciągniono w spisek małżonkę jednego z kapitanów, panią Misset, która przybrała do pomocy swą pokojową. Wszyscy byli całą duszą oddani sprawie Stuartów, a myśl, iż zręcznością i odwagą swoją przysłużą się swemu prawemu monarsze, przyczynią się do ustalenia prawej dynastyi, do przyszłego dobra ojczyzny i religii, nadawała całemu dziełu nieskończenie wielką w ich oczach wagę. Dobrze podówczas porozumienie Anglii z Francją i państwami Rzeszy niemieckiej nakazywało wszędzie największą tajemnicę. Przedewszystkiem chodziło o przyzwolenie rodziców. Skoro tego w opisany powyżej sposób dopięto, zażądali powiernicy stuartowscy od ojca narzeczonej w Olawie naprzód formalnego upoważnienia i pełnomocnictwa do uwięzienia córki, a zarazem listów do księżniczki i matki, zalecających posłuszeństwo radom głównego kierow-



nika projektu, p. Wogan. Po nadejściu żądanych pism z Olawy, wyprawił je Wogan do Insbruku, wraz z zapytaniem, kiedy dzieło wykonane być ma. Poczem całe sprzysięgłe grono wyruszyło (6. kwietnia) różnemi drogami i pod różnymi pozory z Szelstadu do Strasburga, gdzie miano czekać odpowiedzi z Insbruka. Jakoż po dniach dziesięciu przybył wistocie list od p. de Chateaudoux, poufnika księżniczki w Insbruku, wzywający jak najrychlej na stanowisko. Sprawiwszy sobie tedy mocny berliński powóz, zaopatrzwszy go w wszelkie przybory stosowne, wybrano się ostatecznie w podróż ku góróm tyrolskim. Dla ostrożności rozdzielili się wszyscy sześcioro na kilka pomniejszych grup. Kapitan Misset jechał zwyczajnie przodem, w towarzystwie kamerdynera Stuartowskiego, imieniem Mitchel, obaj za kupców włoskich przebrani. Major Gaydon uchodził w paszporcie za hrabiego de Cernesse, pani Misset za jego żonę, pokojowa za jej siostrę, a kapitan Toul towarzyszył hrabiemu jako rządca dóbr jego. Wogan, mogący najprędzej wzbudzić podejrzenie, podróżował pospolicie z osobna. Wybierano zwykle różne popasy i noclegi, a zjechawszy się przypadkowo na jednej stacyi, udawano, że się nie znają. W ten sposób przybyli wszyscy po tygodniowej podróży w granice tyrolskie, do pierwszego prowincyi tej miasteczka, Nazaretu. Kapitan Misset i Mitchel pośpieszyli przodem do pobliskiego Insbruku, uwiadomić tamże p. Chateaudoux o przybyciu orszaku. Co skuteczniejszy, wyjechali obaj o trzy dalsze stacye pocztowe, do wioski Brenner, leżącej na szczycie góry tegoż

nazwiska, i zatrzymali się tam pod pozorem słabości, aż do spodziewanego przybycia reszty towarzystwa z księżniczką. Tymczasem główny korpus przysięgły w Nazarecie powziął wiadomość z Insbruku, iż księżna-matka pragnie jeszcze odroczenia dzieła o jeden dzień, tj. do czwartku 27. kwietnia. Było to bardzo zrozumiałem życzeniem serca macierzyńskiego, pragnącego bogdaj kilku godzinami opóźnić ostatnie pożegnanie się z córką, przeznaczoną do przebycia ciężkiej, może śmiertelnej drogi. Mimo coraz groźniejszego w takim pobliżu niebezpieczeństwa, dozwolono matce tej ostatniej pociechy, a wynikłej stąd zwłoki użyto do oswojenia pokojowej pani Misset, Joanny, z rolą, jaką miała odegrać. I oto, podczas gdy w więzionym domu insbruckim srodze stroskana matka, nie mogąc nawet okazać żalu po sobie, prawdopodobnie na zawsze rozstawała się z córką, w gospodzie w Nazarecie przyjaciele księżniczki musieli w zabawny sposób ludzić wiejską dziewczynę, mającą nieświadomie dopomódz do jej ucieczki. Aż dotąd wiedziała Joanna tylko tyle, iż dla pewnych, nieznanych jej bliżej przyczyn ma przedstawiać siostrę swej pani. Czyniła to nie bez ochoty, z wyjątkiem chwilowych niekiedy narowów, które natychmiast ustępowały, skoro ją rozśmieszono. Teraz jednakże, wymagając od niej należytego znalezienia się w chwili stanowczej, wypadało koniecznie oświecić ją pozornie względem celu tej maskarady. Udano więc przed nią, iż chodzi tu o wykradzenie młodziutkiej a niezmiernie bogatej panny z rąk starego, srogięgo



wuja, zmuszającego ją do oddania ręki innemu sześćdziesięcioletniemu, szkaradnemu starcowi. Panna, przeciwnie, kocha się w swoim dawnym znajomym, kapitanie Toul, i za tajnem przyzwoleniem ciotki, u której mieszka, postanowiła uciec z nim. Nie może atoli dokonać tego inaczej, jak tylko zostawiając w nocy kogoś innego, tj. właśnie Joannę, na swoim miejscu. Za to przyobiecano jej zabezpieczenie losu na całe życie, przedstawiono biednej dziewczynie w tak jaskrawych kolorach niebezpieczeństwo wszystkich jej towarzyszków, zagrożonych utratą gardła w razie rozbicia się projektu, iż pocziwa Flamańska na wszystko zezwoliła. Zaczem ubrano ją natychmiast w bogatą adamaszkową suknię, pani Misset zaczesła ją z pańska, a Wogan dał jej otwarty list pod adresem pana de Chateaudoux, w którym była prośba o zajęcie się losem Joanny i nadesłanie jej w swoim czasie za panną uwięzioną.

Z tymże samym poufnikiem księżniczek w Insbruku porozumiano się ostatecznie z Nazaretu względem godziny i miejsca, w których orszak poufny stawić się miał na placu. Zdązał on do tegoż miasta, rozciągającego się po obydwóch wybrzeżach Innu, od lewej strony rzeki. Więzienie księżniczek leżało o dwa tysiące kroków od Innu, po prawej stronie. Pośrednicząca pomiędzy niemi okolica mostu nad Innem miała być głównem stanowiskiem sprzymierzeńców. Ósma godzina wieczorem była oznaczonym czasem przybycia. Wysłany naprzód Toul wynalazł w pobliżu mostu cichą, ustronną gospodę »pod Barankiem« i w jej

bramie wyglądał znanej berlinki. Na moście miał czekać służący p. de Chateaudoux, aby natychmiast uwiadomić go o przyjeździe. Około ósmej godziny nadjechała w istocie berlinka z pp. Wogan i Gaydon i obydwoma damami. Na widok Toula kazano pocztylionowi zajechać »pod Baranka«. Pani Misset i jej siostra mniemana wysiadły szybko z powozu i wbiegły do wskazanego sobie pokoju na pierwszym piętrze. Joanna pod pozorem straszego bólu zębów rzuciła się zaraz na łóżko, zasunęła gruby welon na twarz i oświadczyła, że nie chce ani jeść, ani pić. Tymczasem mężczyźni krzatali się napróżno około mostu, oglądając się za panem Chateaudoux. Jego służący nie stanął w swoim czasie na zwiadach, przez co wiadomość o przybyciu orszaku doszła do więzienia księżniczek o dwie godziny później, niż należało. Dopiero około jedenastej godziny w nocy pojawił się p. Chateaudoux. Zetknąwszy się z nim, usłyszeli sprzymierzeńcy z nieprzyjemnością, iż księżna-matka prosi jeszcze o odwleczenie projektu do 4 godziny zrana. Niepodobna było zgodzić się na to. Musiał więc p. Chateaudoux przystać w imieniu księżnej na natychmiastową ucieczkę. W tym celu sprowadzono biedną Joannę na most, i podczas gdy mniemani hrabstwo de Cernesse pozostali w stancyi na górze, gdy Toul pilnował na dole, ażeby bramy oberży nie zamknięto, Wogan z p. Chateaudoux i Joanną, prowadzoną przez służącego, udał się ku więzieniu księżniczek.

Było już blisko północy. Po cichym wiosennym wieczorze zaczął nadzwyczajnie gęsty śnieg



padać. W pół drogi do mieszkania księżniczek, w wązkim poprzecznym zaułku, kazał p. Chateaudoux zatrzymać się. Nie mając odwagi widzieć się w tej chwili z samą księżniczką, napisał do niej bilet, oznajmujący w dwóch słowach, iż teraz albo nigdy pora uciekać. Gdy drżący ze wzruszenia Francuz wyprawiał służącego z biletem, Wogan miał nowy kłopot z Joanną. Zasłyszala ona przypadkiem słowo »księżniczka«, które ją niepokojem przejęło. »Jużci nie może być — ozwała się nieboga do towarzysza — aby księżniczki dla p. Toul wykradać się pozwalały. Musi więc zachodzić w tem jakiś sekret«. Zafrasowany Wogan wsunął jej czempredzej znaczny podarek w rękę, który na szczęście wcale inny kierunek jej myślom nadał. Odtąd bowiem tręszczyła się pytaniem: co ma sobie kupić za te pieniądze? Musiał i Wogan wesprzeć ją swoją radą w tej wątpliwości. Tymczasem wrócił służący z odpowiedzią księżniczki, oświadczającej gotowość. Wziął tedy Francuz Joannę spiesźnie pod ramię i pożegnał Wogana prośbą, aby tu czekał księżniczki. Niebawem zniknęli wszystko troje w kierunku mieszkania więziennego, a Wogan pozostał sam w uliczce.

Mimo burzy i śniegu świeciła jasno gwiazda księżniczki. Samo niebo ułatwiał ucieczkę. Nagła zawierucha spadła zasłoną na oczy przeciwników. Czuwająca przed domem więziennym straż, która nigdy przedtem nie uchylała się z bramy, teraz w dogodniejsze skryła się miejsce. W taką burzę i o tak późnej porze wszelka ostrożność zdawała się zbyteczną. Nadto, miano właśnie zamykać bramę

na noc. Postrzegł to był służący pana Chateaudoux, wyprawiony z owym biletem do księżniczki, i uwiadomił ją o tem. Zdecydowana do korzystania z chwili księżniczka gotowa była użyć innego środka ucieczki, gdyby tymczasem bramę zawarto. Przedsięwzięła w takim razie uciec ogrodem, przez mur, za pomocą drabinki. Chcąc się jednak sama przekonać, czy wyjście główne jeszcze wolne lub nie, zbiegła na schody. Postrzegłszy stamtąd pana Chateaudoux z Joanną w otwartej bramie, cofnęła się czempredzej. Pozostawało tylko pożegnać się jeszcze z matką. Rozstanie to nie mogło trwać nad chwilę. Jedno śpieszne błogosławieństwo musiało zastąpić wszelkie lzy, wszelkie słowa. W oka mgnieniu wróciła księżniczka na schody, do czekającej już tam Joanny. Stłumiona boleść rozstania malowała się tem wymowniej na obliczu pięknej uciekającej. Widok ten rozrzewnił pocziwłą Joannę. Przywdziewając księżniczce swoją zroszoną śniegiem odzież, ucałowała ją serdecznie, prosząc, aby się nie martwiła. »Pojedziesz — rzekła litośnie — z bardzo grzecznymi panami i z acną panią, którzy nie dadzą ci krzywdy zrobić«. — Po tych słowach została Francuzka zamiast księżniczki wprowadzona na pokoje więzienne, a przebrana córka książęca była już za bramą, na ulicy.

Za chwilę, o pierwszej godzinie po północy, wśród zawieruchy śnieżnej, nadeszła ku Woganowi szybkim krokiem jakaś postać kobieca. Pod jej popielatym płaszczem, zapuszczonym welonem, strojem Joanny, mogła dla niego kryć się zarówno księżniczka ocalona, jakoteż, w razie spełnienia projektu,

Książka: 11  
№ 246



powracająca Joanna. Z niewypowiedzianą uciechą poznał Wogan księżniczkę. Tajemniczość chwili wzbraniała wszelkich oznak radości, wszelkiej rozmowy. W milczeniu pośpieszono dalej, ku oberży za mostem. Ciężkie, przemokłe od ciągłego śniegu odzienie, również ciężki, bo pięciu do sześciu niepróżnemi kieszeniami zaopatrzony fartuszek podróżny, wreszcie gruba warstwa śniegu pod stopami, utrudniały krok każdy. Usłużność przewodnika Wogana, który, czy to skutkiem krótkiego wzroku, czy zbytniego zaprzątnięcia umysłu, błyszczące plamy roztopionego śniegu brał za białe kamienie i ustawicznie w wodę naprowadzał księżniczkę, niewielce także ułatwiała przeprawę. Osiągnięto przecież szczęśliwie most przy oberży. Tam musiał Wogan opuścić księżniczkę na krótką chwilę, aby, przodem do oberży pobiegłszy, zapewnić się, iż wniśćcie do niej jest wolne. »I oto po raz drugi — zdumiewa się pamiętnik — widzimy księżniczkę samą wśród nocy na ulicy, znużoną przykrym chodem, wystawioną na całą okropność burzy zimowej! Na szczęście wrócił wkrótce przewodnik i wprowadził ją bezpiecznie pod dach oberży, do ubogiej stancyjki na pierwszym piętrze, gdzie po śpiesznem zdjęciu z niej ciężkiego, przemokłego odzienia, całe wzruszone towarzystwo w milczącym uniesieniu radości padło na kolana przed swoją młodocianą królową...

Za kilka minut, około drugiej godziny po północy, zabrzmiała trąbka pocztarska i pędziła już z miasta gościńcem ku Weronie uprzężona czwórka berlinka, a w niej: pani Misset z księżniczką w głębi,

panowie Gaydon i Wogan na przedzie, szczęśliwy zaś (zdaniem Joanny) kochanek synowicy srogiego wuja, kapitan Toul, z pocztylionem na koźle. Za miastem przypominano sobie toaletę księżniczki z klejnotami, nadesłaną za nią do oberży przez księżnę-matkę, a w pośpiechu wyjazdu pozostawioną gdzieś na uboczu. — Toul skoczył czemprędzej na koń, wrócił cwałem do miasta i, znalazłszy toaletę na swoim miejscu, przywiózł ją wkrótce nazad. Ten traf szczęśliwy wzięto za pomyslną wróżbę dalszej wyprawy. Na pierwszej stacyi przyprzężono nową parę koni, a nad rankiem stanęła berlinka o sześć mil od Insbruku, u szczytu góry Brenner, gdzie od dni kilku, pod pozorem słabości, czekali Misset i Mitchel. Tam przy zmianie koni pocztowych, wytężone dotąd siły księżniczki zawiodły ją na chwilę. Chcąc cokolwiek wypocząć, zemdliała na ręku pani Misset. »Wszelkie okropności śmierci — opowiada autor Pamiętnika — przeszły nas na ten widok«. Za użyciem jednak kropel trzeźwiących ocuciła się wnet księżniczka, aby natychmiast dalszą rozkazać podróż.

Był to w całej podróży jedyny znak słabości ze strony Klementyny. Usprawiedliwiały go dostatecznie wrażenia nocy minionej, zupełny brak snu, trud ciągłej jazdy, na koniec odmówienie sobie wszelkiego zrana posiłku, jako w piątek, dzień postu. Zresztą okazała się nasza siedemnastoletnia heroina godną we wszystkim bohaterskiego imienia, jakie nosiła. Nie zatrwożyły jej na chwilę samotność, burza nocna, możność popadnięcia w ręce



surowych prześladowców. Żaden przypadek chwilowy, jak np. owa strata szkatułki z klejnotami, nader przykre później uszkodzenie powozu, nie zachwiał jej spokojności. Niebezpieczna gdzieniegdzie jazda wzdłuż przepaścistych brzegów Adygi, nabawiająca śmiertelnej trwogi panią Misset, służyła księżniczce z tegoż powodu za niejaką rozrywkę, rozweselającą ją widokiem śmiesznych symptomatów<sup>1)</sup> przestraszonych owarzyszki — pobudzającą ją później do niewinnych z niej żartów. Przyszłszy teraz z omdlenia do siebie, wszczeła księżniczka krótką rozmowę z swoimi milczącymi dotychczas wybawcami. Ośmieleni jej uprzejmością, zdumieni rzadką w tak dziecinny wiek determinacją<sup>2)</sup>, nie mogli oni wstrzymać się od wynurzenia swego podziwu. Co W. K. Mość uczyniłaś dzisiaj dla króla, pana naszego — rzecze major Gaydon w imieniu reszty — zapewnia jej nieśmiertelną chwałę w rocznikach świata. Przed wielką duszą W. Król. Mości upadną w proch wszelkie zawady i przeciwności, jakie dotąd stały w drodze królowi, panu naszemu. Wasza Król. Mość będziesz zbawieniem i rozkoszą dni jego.

Jakoż wysilali wierni słudzy domu Stuartów wszelką swoją gorliwość, aby uwieźć nieuszkodzenie tak drogi skarb. Właściwa owemu czasowi przesada ceremonialności i dworactwa posuwała tę ich niezmierną troskliwość aż do śmieszności. Połączone z nią zbyt częste przejęcie się wielkością dzieła swojego przynosiło znaczny uszczerbek mę-

<sup>1)</sup> Objawów.

<sup>2)</sup> Stanowczością.

skości i przytomności samychże sprawców. Ow Fran-  
cuz Chateaudoux nie mógł dla zbyt wielkiego wzru-  
szenia znieść w stanowczej chwili widoku ucieka-  
jącej księżniczki. Irlandczykowi Woganowi, z po-  
dobnej przyczyny, błyszcząca woda kałuży wy-  
dawała się raz po raz białymi kamieniami. W nocy,  
gdy księżniczka i pani Misset zadrzemały w po-  
wozie, każde potrącenie się ramion porażało to-  
warzyszów przestachem, aby nie ucierpiała na  
tem całość «Trzech zjednoczonych królestw». —  
»Mieć oś zlaną i być odpowiedzialnym za bez-  
pieczeństwo królowny, której losy obchodzą całe  
chrześcijaństwo!« — woła major Gaydon w swym  
Pamiętniku. Temci nadobnie odbijała od ta-  
kich uniesień śmiałość księżniczki, śmiałość żywego,  
swobodnego, wkrótce nawet wesoło igrającego  
dziecka, jedynej naiwnej duszy w tem towa-  
rzystwie.

Na szczęście ochraniała ją Opatrzność od zbyt  
ciężkich doświadczeń. Jak samo wyjście z murów  
więziennych, tak i wszystkie dalsze przygody tej  
podróży odpowiadały swą łagodnością młodocia-  
nemu wiekowi bohaterki. Dzięki łaskawej opiece  
Niebios, do których tyle modłów wznosiło się z róż-  
nych stron za księżniczką, kilkudniowa ucieczka,  
grożąca w zamyśle tysiącami niebezpieczeństw,  
stała się w rzeczywistości zabawną, wcale nie-  
szkodliwymi przygodami urozmaiconą przejażdżką.  
Największą niedogodność sprawiła jednoczesna  
podróż margrabiny badeńskiej, która tym samym  
gościńcem, tylko o trzy stacye pocztowe przodem,  
jechała dwornie do Włoch. Z tej przyczyny dosta-



wały się naszym podróżnym na każdej stacyi pomęczone już konie, a często nie można było żadnych otrzymać. Z tem wszystkiem ubieżono do 15 mil dnia pierwszego. Nazajutrz rano dwaj z towarzyszów, Toul i Misset, pozostali umyślnie z tyłu, w miasteczku Welsch Milik, przed Trientem, aby pilne mieć oko, czy nie będzie przejeżdżał z Insbruku jaki kurjer, który, na wypadek przedwczesnego tamże wykrycia się ucieczki, mógłby wieść rozkaz powstrzymania księżniczki w drodze. W takim razie miała pozostawiona czata przeszkodzić kuryerowi w dalszej pogoni. I w istocie, podczas gdy drużyna uciekająca śpieszyła po południu z Trientu do Roveredo, zajechał do gospody w Welsch Milik przejeżdżający z Insbruku goniec z depeszami do komendanta Trientu. Lubo nie znając właściwej treści depesz, wszczepli Toul i Misset natychmiast pogadankę z kuryerem, który, srodze znużony, rad był chwilce spoczynku. Od słów przyszło do szklanek, a gdy po kilku butelkach kurjer ozwał się z prośbą, aby mu wody dolewano do wina, dolewano mu wódki natomiast. Wkrótce usnął na placu, a czuwającym nad nim przyjaciółom pozostała tylko troska zbyteczna, aby się nie obudził zawczasie.

Tymczasem księżniczka ujeżdżała wieczorem z Roveredo ku Ali. Bawiono ją żartobliwą rozmową o zaletach berlinki, która całą przestrzeń z Strasburga aż dotąd bez najmniejszego przebyła szwanku. Wtem łamie się jedna część osi. Musiano wysiąść. Wogan z Mitchelem zajęli się naprawą. Gaydon i pani Misset uprowadzili księżniczkę na

łąkę, ku jakiejś wiosce. Chęć napicia się mleka zwabiła ją do siola. Dzwoniono tam właśnie na modlitwę wieczorną. Nie było mleka, lecz natomiast weszła księżniczka do kościółka wiejskiego i padła na kolana. Po skończonej modlitwie przybył Wogan oznajmić, iż koło naprawione.

Nadwężenie berlinki i pomęczone konie nie dozwalały pośpieszać. Na szczęście zbliżano się już do ostatniej stacyi przed granicą rzeczypospolitej weneckiej, kresem wszelkiej obawy. »Wtedy — pisze major Gaydon w swym Pamiętniku — o jedenastej godzinie w nocy wydarzył się przypadek, który miał tem głośniej rozślawić imię księżniczki w dziejach«. Złamała się druga część osi. Powóz wywrócił się. Księżniczka spała tak mocno, że nie czuła wcale wywrotu. Wogan wziął ją na ręce i ustąpił z nią na bok. Widząc jakiś biały kamień przed sobą, postawił na nim księżniczkę. Dopiero nagle wzdrygnięcie się śpiącej oświeciło go, że ją znowu w wodę wprowadził. »Gdzie mama?« — były pierwsze słowa księżniczki, wymówione jeszcze pół we śnie. Po zupełnem ocuceniu się wypadło dojść piechotą do stacyi. Kosztowało to pół godziny przykrego chodu, nocą, w wilgoci. »Ale podczas gdy my — pisze Gaydon — oddawaliśmy się smutkowi, królowna żartowała sobie z tych fraszek«.

W miasteczku Ala, dokąd po północy nadciągnął powóz złamany, okazało się, iż naprawa potrwa do rana. Będąc o półtorej mili od granicy, nie chciano narażać się na taką zwłokę. Groziła ona tem prawdopodobniejszem niebezpieczeństwem, ile że Toul i Misset, czuwający jeszcze nad



swoim śpiącym kuryerem, nie połączyli się dotychczas z towarzystwem, a zatem musieli zapewne spotkać się z jakąś poszlaką. Najęto więc prosty wózek — najlepszy, jaki można było dostać w miasteczku — wyścielono go poduszkami berlinki i wsadzono nań obie damy. Panowie Gaydon i Wogan szli pieszo obok. Mitchel pozostał przy berlince, która nazajutrz rano miała przybyć za towarzystwem. Ponowiona przedtem przechadzka, w połączeniu z przeszło dwudniowym znużeniem, złożyła księżniczkę na nowo snem głębokim. Obudził ją z niego dopiero głośny okrzyk radości, gdy wózek o wpół do czwartej zrana przejechał linię graniczną.

O godzinie piątej stanęła księżniczka w pierwszym miasteczku weneckim, Peri. Powitało ją tam ranne dzwónienie na mszę. Usłyszawszy je, porzuciła drużyna wędrowną swoją tyrolską dorożkę na środku miasta i udała się do kościoła. Po złożeniu gorących dzięków Niebiosom, znaleziono oberżę i pozwolono sobie spoczynku.

W ciągu dnia połączyli się z towarzystwem Mitchel z naprawioną berlinką i Toul z Missetem. Była to trzecia doba od ucieczki z Insbruku. Dwa dalsze dnie zaprowadziły wszystkich spokojną, lecz zawsze jeszcze pod przybranem nazwiskiem odbywaną podróżą, w granicę Państwa Kościelnego, do Bolonii, najbliższego kresu podróży. Po narzeczonym, którego księżniczka nie miała zastać we Włoszech, najciekawszym dla niej widokiem w Bolonii był widok owej córki domu Caprara, którą złośliwe doniesienia mieniły jej rywalką. Przyjawszy powitalne odwiedziny kardynała legata bo-

łońskiego, zwiedziwszy *incognito* główne kościoły i klasztory, kazała księżniczka zaprowadzić się do pałacu Caprara. Marszałek domu okazywał z osobliwszem upodobaniem liczne znaki zwycięskie, odniesione przez jednego z przodków rodziny w wojnach z Turkami. Księżniczka chciała przede wszystkim widzieć portret panny Caprara. Żywy rumieniec oblał jej lica, gdy nań okiem rzuciła. Towarzysze księżniczki spojrzeli po sobie z zadziwieniem. Nikt z nich nie wiedział, co to znaczy.

Dopiero po przebyciu granicy weneckiej przez księżniczkę rozgłosiła się w Insbruku jej ucieczka. Ów kuryer w Welsch Milik wcale inną wiadomość utopił w rozpuszczanem gorzalką winie. Przez całe dwie pierwsze doby po ujechaniu księżniczki utrzymywała księżna matka (za pomocą Joanny) wszystkich w mniemaniu, iż córka — chora. Trzeciego dnia oznajmiono, że księżniczka dla dopełnienia ślubów kościelnych oddaliła się potajemnie do swego męża. Wynikłe stąd dla rodziców przykrości zmusiły królewicza Jakóba do opuszczenia Olawy.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> »Rozgniewany ucieczką cesarz dał uczuć królewiczowi skutki nielaski swojej. Doręczono mu ze strony *Ober-Amst-Directorium* w Wrocławiu mandat, aby księżniczkę nazad do Insbruku dostawił, jeśli nie chce ściągnąć na siebie gniewu cesarza i być zmuszonym do opuszczenia z całą familią w przeciągu 8 dni wszystkich krajów cesarskich, z utratą dochodów, pobieranych ze swego zastawu Olawy. Gdy królewicz tego uczynić nie mógł, stało się według rozkazu cesarskiego. Dnia 6 czerwca przybyły 2 kompanie z pułku Alt-Daun i zajęły zamek i miasto. Królewicz udał się do Polski, do przestawnego klasztoru Czeszochowskiego, gdzie bawił czas niejaki, aż póki, pojednaw-



Udał się wkrótce do Polski i zamieszkał na długi czas w Częstochowie.

Wtedy księżniczka Klementyna żyła już z mężem w Rzymie. W kilka dni po jej przybyciu do Bolonii zjechał tam z Rzymu pan Murray, przeznaczony do zaślubienia księżniczki w imieniu króla. Nastąpiło to dnia 9 maja, w dziesięć dni po opuszczeniu Insbruku. — Z przyczyny ciągłego *incognito*, które księżniczka mimo nader gościnna uprzejmość władz papieskich, mianowicie bolońskiego kardynała legata Origo, najściślej zachowywała, odbył się ten obrzęd w wszelkiej cichości. O siódmej godzinie z rana udała się oblubienica w skromnej białej sukni, w towarzystwie pani Misset, do najbliższego kościoła i rzuciła się tam do stóp konfesyonału. Za powrotem do domu weszła na salę, gdzie całe zgromadzenie czekało z uszanowaniem. Byli tam: p. Murray z umyślnie na to przywiezionym kapłanem angielskim, niejaki margrabia Monti w imieniu ojca księżniczki, Wogan w imieniu króla, wreszcie całe grono podróżne, któremu łaskawie dozwolona obecność przy tym akcie stała za najmilszą nagrodę trudów przeżyć. Po odczytaniu prokuracyi i zezwolenia w imieniu pana młodego, zapytał kapłan Klementynę, jeśli także zezwala? »Mogę upewnić — pisze Gaydon — że Gracye <sup>1)</sup> przez usta jej przemówiły, gdy te słowa wyrzekła«. — Błogosławieństwo kapłańskie dopełniło ceremonii.

szy się z cesarzem, nie otrzymał pozwolenia na powrót do Olawy. (Przyp. aut).

<sup>1)</sup> Greckie boginie wdzięku.

W tydzień później stanęła księżniczka w Rzymie, w klasztorze Urszuliniek, swoim /tymczasowym mieszkaniu. Powitano ją nad Tyberą <sup>1)</sup> medalem, wybitym na pamiątkę szczęśliwego oswobodzenia. Po jednej stronie umieszczone było popiersie księżniczki z napisem: *Clementina, Magnae Britanniae, Franciae, Scotiae et Hiberniae Regina* <sup>2)</sup>. Po drugiej ozdobny rydwan <sup>3)</sup>, uprzążony czterą bystrych rumakami, pod wodzą Klementyny, w pędzie ku widniejącemu zdała Miastu Wiecznemu... U góry napis: *Fortunam causamque sequor* (Spieszę za szczęściem i słuszością). U spodu: *Deceptis custodibus*. A. 1719 <sup>4)</sup>. Medal ten był tylko początkiem zaszczytów, jakie księżniczkę tak ze strony papieża, jakoteż całego ludu rzymskiego obsypały niebawem w stolicy apostolskiej. Łaskawe posłuchanie u Ojca św., odwiedziny najdostojniejszych osób, pielgrzymki po miejscach świętych skróciły porę oczekiwania króla z Hiszpanii. Nadpłynął on z końcem sierpnia na dwóch statkach hiszpańskich, które zawinęły w Liworno. Księżniczka wyjechała naprzeciw niemu do Monte Fiascone. Biskup diecezjalny połączył ich tam nowem w imieniu papieża błogosławieństwem. Pod koniec października przybyli oboje małżonkowie do Rzymu i zajęli przygotowany sobie pałac na placu Sant' Apostoli.

W jego to murach zamknęły się odtąd dni

<sup>1)</sup> Tybr.

<sup>2)</sup> Klementyna, królowa Wielkiej Brytanii, Francji, Szkocyi i Irlandyi.

<sup>3)</sup> Powóz.

<sup>4)</sup> Po oszukaniu stróżów.



królewskie. W koronie, z berłem w ręku, spoczęła na zawsze w podziemiach św. Piotra.

We dwa lata później (19. grudnia 1737) spoczął jej ojciec w Żółkwi. Jedenastą laty wcześniej (22. lipca 1726) poprzedził go tam do grobu średni z braci, Konstanty. Wszyscy trzej zeszli bez potomka po mieczu. We trzy lata po zgonie królewicza Jakóba, ze śmiercią ostatniej z jego córek, Karoliny, księżny de Bouillon, zmarłej w Żółkwi r. 1740, nie stało nawet żeńskich potomków. Nie było już nikogo ze krwi króla Jana III, coby nosił imię Sobieskich. W przeciągu jednego wieku zajaśniał ten ród w oczach świata i zgasł. Wielcy dziadowie rozslawili go blaskiem oręża; pobożna wnuka przyozdobiła jego zachód aureolą świętości.

Wydruk J. J. KRASZEWSKIEGO

W BIAŁYM J.

Kodex: III

nr 246

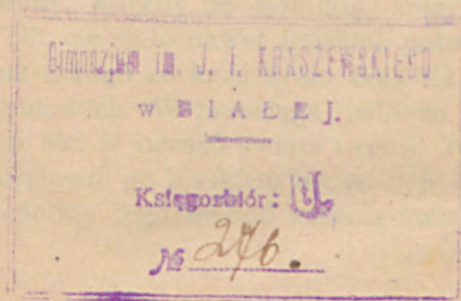




KAROL SZAJNOCHA

O „ŁĄŻNI” BOLESŁAWA CHROBREGO  
KOPIA HUSSARSKA

SZKICE HISTORYCZNE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — — — LUBLIN — — — ŁÓDŹ  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA.



*Anmerkung*  
**987**

Geprüft und freigegeben durch die Kgl. Deutsche Presseverwaltung Warschau,  
den 5./IX. 1918 T.-N. 11324, D.-N. 295.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie, ul. Chmielna Nr. 61.

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO  
w BIAŁEJ.  
Księgozbiór: **U**  
**O „ŁAŻNI“ BOLESŁAWA CHROBREGO.**

Zdawien dawna lubiono przeplatać historię dykterijkami<sup>1)</sup>. Im starszą która kronika<sup>2)</sup>, tem częstsze w niej przypowiadki ucieszne. Najstarsza z kronik polskich, tak zwana Marcina Galla, umie przy każdym wypadku przytoczyć jakąś facecyę<sup>3)</sup>. Oto np. obadwaj pierwsi Bolesławowie, wjeżdżając wesoło do stolicy zdobytej, uderzają mieczem w złotą bramę kijowską. Oto Bolesław Śmiały, przyrzekając swoją opiekę w. księciu kijowskiemu Izasławowi, miał targnąć go w żarcie za brodę. Oto wreszcie Bolesław Chrobry, chcąc się okazać łaskawym, „sprawia łaźnię“ możliwym młodzieńcom.

Każda z tych przypowiastek zawiera pewien szczegół prawdziwy. Lecz prawda ta miała wcale inne znaczenie w rzeczywistości niż w ustach kronikarza. I tak np. owo uderzenie orężem w złotą bramę kijowską, które kronikarz, osobiście przy wjeździe Bolesława Chrobrego, przedstawia jako koncept rubaszny, nawet swawolny, trudny tutaj do powtórzenia, było właściwie znakiem uroczystego wzięcia w posiadłość. Nie wiedział o tem większa część towarzyszących Bolesławowi rycerzów, nie wiedział opowiadający to kronikarz, lecz każdy znawca ówczesnej symboliki<sup>4)</sup> prawa mógłby nam być wytłumaczyć, że biorąc w posiadanie jakiś kraj albo gród nowy, należało dotknąć się orężem albo kopią granicznych słupów kraju lub bramy miasta.

Takim np. sposobem Autharis, król Longobardów<sup>5)</sup>, opanowawszy całą południową Italię, wje-

<sup>1)</sup> Powiaстка; <sup>2)</sup> historia pisana porządkiem dat, jak wypadki następowały; <sup>3)</sup> żart; <sup>4)</sup> przedstawianie obrazowe;

<sup>5)</sup> Longobardowie plemię germańskie, które w VI wieku opanowało północne Włochy.



chał na koniu w Morze Śródziemne i ugodził kopią w wmurowany tam słup, jako w najdalszą granicę swojego państwa. Takim sposobem niektórzy z udzielnych panów niemieckich, posiadający ziemie nad Renem, wjeżdżali konno w rzekę i uderzali w nią kopią.

Później stał się ten symbol tak powszechnym, iż zaczęto używać go nie tylko w znak rzeczywistego wejścia w posiadłość, lecz dla samego popisania się jakąś mniemaną własnością albo zdobyczą. Wtedy każdy pragnął dotknąć się czegoś; ślepy król czeski Jan Luxemburczyk, wojując z Kazimierzem Wielkim, chciał koniecznie dotknąć się kopią murów Krakowa; lada rycerz angielski rozpędzał się ku stolicy francuskiej, i szturknąwszy dzidą o jedną z bram Paryża, miał się czem chwalić na całe życie.

W podobnie symbolicznem znaczeniu targano czasem za brodę. Znaczyło to przyjmować kogoś w swoją obronę, i bywało niejednokrotnie w użyciu. Widzimy to w przykładzie króla Wizygotów<sup>1)</sup> Alaryka, o którym współczesne kroniki prawią, że dotknięciem się brody króla Kłodoweusza<sup>2)</sup>, adoptował<sup>3)</sup> tegoż potężnego monarchę Franków. Jeszcze częściej kazali tacy opiekunowie postrzygać swoich pupilów<sup>4)</sup>, o czem bardzo gęste wzmianki w kronikach. Mniejsza atoli łatwość dotykania się czyjejs brody, i usilnie przez duchowieństwo zalecany zwyczaj krótko strzyżonych włosów, ochroniły ten symbol od podobnych nadużyć, jakim uległo uderzanie orężem w bramę.

Nie trudno tedy zmiarkować, że i owa „łaźnia” Bolesława Chrobrego miała raczej symboliczne niż rzeczywiste znaczenie. Uchodzi ona powszechnie za akt kary cielesnej, a ktoś zechce wierzyć naprawdę, iż potężny i wielce przykładny król, jak Bolesław, własnoręcznie chłostał poddanych. Ale wpatrzmy się sami w opis tej ceremonii, jak on pierwotnie opiewa u kronikarza.

Czytamy naprzód o wspaniałej uczcie u dworu.

<sup>1)</sup> Wizygoci plemię germańskie, które w VI wieku opano-  
wało południową Francję; <sup>2)</sup> Kłodoweusz Chłodwig z dyna-  
styj Merowingów, założyciel państwa Franków w Galii (dzisiejszej  
Francji); <sup>3)</sup> usynowił; <sup>4)</sup> wychowawiec.

Siedzą za stołem król, królowa i dwunastu najznakomitszych magnatów kraju, „przyjaciół i doradców” Bolesławowych, wraz z małżonkami swojemi. Wielka radość w kole godowem. Toczą się różne rozmowy o wypadkach publicznych, zdarza się wzmianka o winowajcach zacnego rodu, którzy dopuścili się czynów niegodnych i zostali za to skazani na śmierć. Przez wzgląd na zasłużonych krajowi przodków żałuje Bolesław wydanego wyroku, który wspomnieniem swoim zasępił radość powszechną. Wtedy odzywa się z przymileniem królowa: Czy chętnie przystałby król, iżby jakiś święty wskrzesił straconych? Bolesław odpowiada łaskawie, a królowa powstaje z miejsca i, wraz z dwunastą „przyjaciółmi i doradcami” korony, pada do nóg królowi. „Powstrzymałam” — mówi — „wykonanie wyroku i proszę teraz o życie winowajców, którzy pod ścisłą zostają strażą”. Bolesław ściska królowę i podniósłszy ją z ziemi, pochwała miłosierny uczynek.

„Zaczem tej samej chwili” — ciągnie kronikarz dosłownie dalej — „spieszą wysłańcy po winowajców, z rozkazem co rychlejszego powrotu. Królewscy tymczasem biesiadnicy oddają się tem żywsemu weselu, ile że się okazało dowodnie, jak mądrze królowa umie przestrzegać sławy króla i pożytku królestwa, i jak łaskawie król przychyła się do życzeń małżonki i przyjaciół. Ci zaś, po których gońców wysłano, muszą za przybyciem stawić się najpierw nie przed królem, lecz przed królową, od której surowemi i łagodnemi skarceni słowy, bywają prowadzeni do łaźni króla. Tam Bolesław, kąpiąc się z nimi, upominał ich jak ojciec własnych synów, a wychwalając pamięć ich przodków, przemawiał do nich: „Wy, tak zacnego rodu potomki, nie powinniście byli dopuszczać się takich sprawek!” Przyczem starszych wiekiem tylko słowami, bądźto sam bądź przez innych strofował, u młodszych zaś razy do słów przydawał. A upomniawszy ich po ojcowsku, i królewskiem przyozdobiwszy szaty i darami ich zaszczyciwszy, owszem do wyższego stopnia godności podniósłszy obdarzonych, pozwalał im z radością powrócić do domu”.



Oto pierwotne brzmienie powiastki, która później w tak powszechne weszła przysłowie. Odtrąćmy niektóre przydatki poetyczne, a dostrzeżemy następujących głównych rysów zdarzenia:

Odbywa się wielka uczta u dworu.

Przeznaczeni do łaźniowej ceremonii młodzieńcy znajdują się pod strażą.

Król ma do nich przemowę w łaźni.

Po kąpeli i przemowie następuje własnoręczne uderzenie przez króla.

Za tem idzie przyodzianie w szaty królewskie i obdarzenie upominkami.

Kończy się obrzęd podniesieniem młodzieńców do wyższego stopnia godności i wesołym powrotem do dom.

Za darowaną im karę śmierci, za łaskawe przebaczenie sprawy gardłowej, są to aż nazbyt hojne zaprawdę przeprosiny. Z całej owszem powiastki widać, iż mniemana chłosta łaźniowa przynosiła więcej chluby niż szkody, była raczej wyszczególnieniem niż karą. Któż nawet wie, czy nie miała ona przypadkowo symbolicznego znaczenia jakiejś czci wyrządzonej, również opacznie zrozumianej przez kronikarza, jak on opacznie wytłumaczył sobie owo uderzenie orężem w bramę, owo dotknięcie brody? Należałoby tylko przekonać się, czy w historii innych narodów nie słychać o podobnym szczególnie obyczajowym, czy też gdzieindziej nie sprawiano także łaźni podobnej?

I rzeczywiście przypomina się nam taka zaszczytna łaźnia wielekroć zagranicą. Jestto uroczysta kąpiel, brana niegdyś przez szlachetnych młodzieńców przed pasowaniem rycerskiem. Nie towarzyszyła ona wprawdzie każdemu obrzędowi tego rodzaju, lecz w bardzo wielu wypadkach, osobliwie zaś w pierwszych czasach rycerstwa, poczytywano ją za najpamiętniejszy symbol święcenia rycerskiego. „Kaź Alberku” — mówi w dawnym poemacie rycerskim król francuzki do marszałka swojego:

„Kaź Alberku, w usług twych nagrodę  
Przyrządzić łaźnię i skąp w niej synowca,  
Chcę go rycerskim przyozdobić pasem.

Kazał więc kąpiel przyrządzić marszałek,  
I wsadził w wannę zacnego młodzieńca  
Na czas niedługi”.....

Nie innymto sposobem dostąpili np. zaszczytu rycerskiego książę normandzki Goffred, sycylijski król Ludwik II i mnodzy niższego rzędu młodzieńcy. Osobliwie w Anglii były takie łaźnie rycerskie od najdawniejszych czasów w zwyczaju. Poprzedzał je i kończył szereg rozmaitych obrzędów i ceremonii, przestrzeganych z największą akuracją, według osobnych przepisów, które po dziś dzień istnieją w archiwach starodawnych. U dworu królów angielskich doszło pasowanie po kąpeli solennej do tak wysokiego znaczenia, iż powstał tam osobno zakon rycerzy tego rodzaju, tak zwany zakon i order „Łazienny”, istniejący po dzień dzisiejszy. Król Henryk IV<sup>1)</sup> umocował go w XIV wieku nowemi statutami<sup>2)</sup>, a początkiem swoim ma on sięgać czasów króla Alfreda W.<sup>3)</sup> t. j. o wiele dawniejszych od Bolesława.

Tyle co do kąpeli. Pozostaje wytłumaczyć podobnież znaczenie chłosty. W tym względzie natrąca się samo przez się uderzenie przy pasowaniu rycerskiem. Trzykrotny raz orężem po ramieniu lub plecach, i używany przy takiej okoliczności policzek, tak zwany „policzek rycerski”, „ostatni w życiu rycerza”, mogły nieobeznaczonym z ceremonią prostaczkom wydać się na prawdę karą cielesną. Powtórzyła się owa fałszywa wersja<sup>4)</sup> kopii i brody: obraz wzięto za rzeczywistość. Przypuszczając zaś tak symboliczne znaczenie łaźni i chłosty, tych dwóch głównych rysów zagadkowej ceremonii Bolesławowskiej, postrzegamy całą ceremonię w istocie niczem innem, jak tylko udzieleniem znamienitego zaszczytu, starożytną formą święcenia rycerskiego.

W uderzający też sposób zgadzają się z takim pojęciem rzeczy wszystkie inne okoliczności aktu naszego, wyszczególnione powyżej. Rozczytajmy się tyl-

<sup>1)</sup> Król angielski panował od 1399 do 1413;    <sup>2)</sup> ustawa;

<sup>3)</sup> Alfred Wielki król angielski w wieku IX;    <sup>4)</sup> tłumaczenie.



ko w dawnych opisach uroczystości przyozdobienia pasem rycerskich, zbyt szerokich do powtórzenia tu szczegółowo, i znanych zresztą w znacznej części z kądinąd, a przekonamy się sami o następujących znamionach dalszej tożsamości obrzędów.

Jak przy każdym pasowaniu rycerskim, tak i w opisie łaźni Bolesławowskiej, czytamy najprzód o wielkiej uczcie dworskiej, towarzyszącej zwyczajnie obrzędowi tego rodzaju, osobliwie w główne święta doroczne, a najosobliwiej w Zielone.

Jak młodzieńcy Bolesławowscy, tak i wszyscy aspiranci<sup>1)</sup> do stopnia rycerskiego, przebywali poprzednio pewien rodzaj więzienia, t. j. musieli bądźto w kościele, bądź gdzieindziej czuwać noc całą, przygotowując się postem i modlitwą do aktu uroczystego.

Jak młodzieńców Bolesławowskich prowadzono najpierw przed królową, tak i wszyscy przeznaczeni do pasowania giermkowie<sup>2)</sup>, stawali zwyczajnie najprzód przed obliczem królowej i panien dworskich, albo jakichkolwiek dam innych, które z wielką uroczystością stroiły ich do obrzędu.

Jak skąpani już młodzieńcy polscy otrzymywali w upominku „szaty królewskie i różne inne dary“, tak jednym z głównych warunków przyozdobienia pasem rycerskim — było zaszczytowanie nowego rycerza „darami królewskimi“, stanowiącemi główne znamię rycerstwa, t. j. pasem, żupanem karmazynowym, łańcuchem, ostrogami złotemi, tarczą herbową.

Jak wreszcie młodzieńcy Bolesławowscy wracali do domu z „podniesioną do wyższego stopnia godnością“, tak też każdy z nowych rycerzów dostępował swojem pasowaniem najwyższej wówczas godności świeckiej, dającej mu nawet pierwszeństwo przed królem niepasowanym, a zbliżającej go poniekąd do godności kapłaństwa.

Wszystkie tedy okoliczności utwierdzają w domyśle, iż sławna łaźnia Chrobrego była symbolem zaszczytu udzielonego. Nie brak owszem innych jeszcze

<sup>1)</sup> Ubiegający się; <sup>2)</sup> sługa, dźwigający oręż rycerza.

skazówek, przyświadcających podobnemu pojęciu rzeczy. Jedynie takim wytłumaczeniem aktu zagadkowego tłumaczymy sobie oraz niektóre inne wzmianki kronikarskie o czasach Bolesława Chrobrego, albo niedostatecznie zrozumiałe inaczej, albo nie dość wiarogodne bez związku z innymi wzmiankami pokrewnej treści.

I tak np. mówi ten sam Marcin Gallus w innym miejscu swojej kroniki, iż „który z rycerzów nabył sławy i zaszczytów u dworu, ten bywał nazywany „synem królewskim“ — „non miles ille sed regis filius vocabatur“<sup>1)</sup>. Jestto właśnie znany tytuł rycerski filius armorum<sup>2)</sup>, którym świeżo pasowanych, czyli, jak inaczej jeszcze mówiono, adoptowanych<sup>3)</sup> rycerzów zaszczycali książęta pasujący czyli adoptujący.

Z innej kroniki, z Długoszowej, dochodzi nas wiadomość, iż w kilkanaście lat po przyjęciu chrześcijaństwa przez Mieczysława, t. j. właśnie za czasów Bolesława Chrobrego, zaprowadziła szlachta polska podobny zwyczaj wydobywania oręża przy ewangelii podczas mszy świętej, co miało świadczyć o gotowości do obrony wiary Chrystusa. Owóż był to właśnie powszechny zwyczaj starożytnej szwaleryi<sup>4)</sup>, o którym jedno z najgruntowniejszych w tej mierze dzieł opowiada: „Dawni rycerze wstawali przy ewangelii, i trzymając wydobyte oręż w rękę, okazywali się gotowymi do ciągłej walki za wiarę.“ Upowszechnienie się tego zwyczaju w Polsce Bolesława Chrobrego jest przeto dalszym dowodem istnienia organizowanej za jego czasów szwaleryi.

Tenże sam Długosz donosi nieco później, iż w kilkanaście lat po śmierci Bolesława Chrobrego przyjęła szlachta polska zwyczaj ostrzygania włosów okrągło powyżej uszu, jakoby w pamiątkę mnichostwa Kazimierza Odnowiciela. Wpatrzmy się jednakże w szczególne opisy rycerstwa starożytnego, a postrzeżemy z niemałym zadziwieniem, że i to postrzyżanie czu-

<sup>1)</sup> Zwany był nie żołnierzem, lecz synem królewskim; <sup>2)</sup> syn broni; <sup>3)</sup> usynowionych; <sup>4)</sup> rycerstwo.



pryny należało do głównych obowiązków przykładowego rycerstwa. Chciało ono okazać tem posłuszeństwo dla przepisów kościelnych, zalecających skromność w odzieży i sposobie noszenia włosów, cenionych jeszcze z czasów pogaństwa, jako zaszczytna niegdyś oznaka stanu, i z nadzwyczajną przeto wykwinnością pielęgnowanych. Ztąd jak duchowni tak i rycerze wzorowi nosili krótko obcięte włosy, a wyrażenie się „ostrzyżony obyczajem szwaleryi“ użyte np. o jednym z rycerzów króla francuzkiego Ludwika św. miało powszechnie zrozumiałe znaczenie.

Zbierzmyż te pojedyncze wzmianki obyczajowe z czasów Bolesława Chrobrego i przenieśmy je na jednego z owych skąpanych przezeń młodzieńców, a cóżto za obraz urośnie wtedy z tych rysów? Oto stanie przed nami możny rodowity młodzieniec, który przebył ceremonię łaźni u dworu — który otrzymał wtedy honorowe szaty królewskie — który podczas mszy świętej wyciąga oręż przy ewangelii — który nosi okrągło obcięte włosy — który wreszcie nazywa się „synem królewskim.“ I spytajmyż któregośkolwiek ze znawców starożytnego rycerstwa w Europie, kto jest ten młody wojownik? a usłyszmy: Rycerz według wszelkich przepisów.

Przypuściwszy zaś rzeczywiste istnienie takiej wówczas postaci, odsłaniamy sobie cały nowy pogląd na epokę Bolesława Chrobrego. Była ona o wiele mniej barbarzyńską i rubaszną niż powszechnie mniemamy. Waleczny i pobożny Bolesław, zaprzyjaźniony z mężami rzadkiej świętobliwości, jako to z św. Wojciechem, św. Brunonem, św. braćmi pustelnikami — okazuje się zarazem otoczony dworem przykładowego rycerstwa, któremu on przy pasowaniu wyklada obowiązki rycerskie, t. j. obowiązki najwyższych cnót chrześcijańskich, i które też następnie zastosowuje się do nich w miarę możliwości. A bijące stąd światło tem chlubniej opromienia całą epokę, im rzadszem i mniej spodziewanem było wówczas widowisko podobne. Obyczaje rycerskie zakwitły w całej pełni dopiero nieco później, t. j. w ciągu wypraw krzyżowych. Tak wcze-

śne onych pojawienie się w Polsce jest o ile ciekawem, o tyle oraz dalekiem od zarzutu anachronizmu<sup>1)</sup>. Już bowiem w znacznie dawniejszych czasach, mianowicie od wznowienia godności cesarskiej przez Karola W., dają się postrzegać ślady obyczajów i obrzędów rycerskich. Osobliwie w anglosaskiej i duńskiej Anglii, nie obcej Bolesławowi Chrobremu, gdyż rządzonej długo przez jego szwagra Swena i siostrzeńca Kanuta, miało święcenie rycerkie wielu od dawna zwolenników. Sam Bolesław Chrobry otrzymał ten „długo upragniony zaszczyt“ od Cesarza Henryka II podczas świąt Zielonych w Merseburgu<sup>2)</sup>, nie wahając się służyć poprzednio Henrykowi w zwyczajnej roli giermka, niosącego przed nim miecz do kościoła.

Posiadłszy tem władzę udzielania rycerstwa własnym giermkom, używał jej nieskąpo Wielki Bolesław, i otoczył się świetnym dworem pasowanego rycerstwa, swoich „synów łaźniennych“. Wiadoma jest sława Chrobrego z niezmiernej liczby gości rycerskich, krajowych i zagranicznych, podejmowanych hojnie u jego dworu, zasiadających codziennie przy czterdziestu stołach królewskich.

Pod tym względem celowało panowanie Bolesława Chrobrego jedyną w swoim rodzaju chwałą, niezrównaną w żadnej z epok następnych. Nasz o niespełna sto lat późniejszy Marcin Gallus, piszący swoją kronikę na cześć Bolesława Krzywoustego, a temsamem nieskłonny wcale do ubliżania jego dworowi, przedstawia swoje czasy jako epokę upadku w porównaniu z wiekiem Chrobrego.

Bo też niezmierne zmiany zaszły między Chrobrym a Krzywoustym, zmiany w Polsce i w całej reszcie świata. Kilkoletni bezrząd pogański po śmierci syna Chrobrego, zaburzenia domowe pod Bolesławem Śmiałym, wygnanie Bolesława Śmiałego, wojny domowe między Władysławem Hermanem a jego synem Zbigniewem, upadek cesarza Henryka IV i wzniesienie się

<sup>1)</sup> Pomyłka co do czasu; <sup>2)</sup> Merseburg miasto nad rzeką Sałą, niegdyś stolica książąt sasko-merseburgskich.



powszechnej przewagi dworu rzymskiego — to wszystko przekształciło dawną postać kraju i dworu, przyniosło z sobą nowe obrzędy i obyczaje, podało w niepamięć dawne.

Pod wpływem tego przeobrażenia zapomniano także znaczenia łaźni Bolesławowskiej, uderzenia w złotą bramę kijowską, dotknięcia się brody Izaławowej. Zapomnieli je osobliwie ludzie duchowni, uczeni, powtarzający opowiadania równie nieobeznanych z rzeczą opowiadaczy, a gdy z czasem i w innych krajach zaprzestano używać łaźni przy pasowaniu rycerskiem, stała się ona zgoła niezrozumiałą, przeszła w żartobliwe przysłowie.

Dziś próbując wykazać prawdziwe jej znaczenie, przypominają się nam mimowolnie owe słowa poety:

Co to! Co to!  
Inne czasy, inni ludzie!  
Mów im prawdę szczerą  
A słuchają jak o cudzie!

## KOPIA HUSSARSKA

Dziadku! czemu to mówią, że wojskiem byli hułani, kiedy w historyi niesłychać nic o hułanach?

— Spytaj się ojca. Powie ci.

— Jużem się pytał. Mówił, że nic nie wie.

— To zagłównij do książki.

— Jużem zagłównał. I tam nic nie ma

— A cóż tam w waszych książkach, kiedy nie ma w nich o hułanach i hussarzach!

Dziadek był ciemny. Dawno nie zagłównał do książek. I nie od czytania też ociemniał. Dość mu było przez lat siedmdziesiąt patrzeć na ten świat. W siedmdziesiątym i którymś roku życia zasłonił mu Pan Bóg oczy. Od tej chwili zaprzestał dziadek rachować sobie lata. Czas nietylko stanął mu w biegu, lecz owszem cofnął się wstecz. Myśli dziadka zwróciły się w pierwsze lata i krążyły bez przerwy około dawnych wspomnień. Ciemny dla obecności, widział dziadek jak na dłoni czasy swojej młodości, czasy i obyczaje przed-konfederackie i przed-Stanisławowskie.

— A wiesz ty chłopcze, co to kopia?

Chłopiec postrzegł, że dziadek zaczyna opowiadać, co on tak lubił słuchać; przysiadł się więc u nóg staruszka i ciekawie patrzył mu w oczy, którym teraz słońce Sasów świeciło.

— Co to kopia?! Hej panie podkomorzy parnawski<sup>1)</sup> cóżbyś powiedział, słysząc to zapytanie! Mów im o kopii a nie zrozumia, póki nie powiesz: lanca. Kiedy słyszą, że niegdyś nad każdym łóżem szlechetkiem wisiała szabla, to myślą sobie: Dawne to czasy! A kiedy im prawisz, że jeszcze pierwej niż szabli,

<sup>1)</sup> Parnawa miasteczko w gub. Litlandzkiej.



dawano tam miejsce kopii to myślą sobie: Zapomina się dziadek! A przecież za naszych czasów dobrze o tem wiadano. I nie było nikogo od Pałuk<sup>1)</sup> aż po Parnawę, coby był nie znał kopii pana podkomorzego parnawskiego Kampenhauzena<sup>2)</sup>. Wszystkie po nim były to już tylko lance lub piki; on ostatni miał prawdziwą kopią hussarską.

Jak dziś pamiętam ją u niego w Rybniszkach<sup>3)</sup>, gdzie się wychował. Blisko trzy sążnie długa, gruba u tulei jak ramię, a lekka jak palma w kwietnią niedzielę! Drzewce miała z młodej prostej osiki. wydrążone u spodu, żółto pokostowane. Tuleja<sup>4)</sup>, to jest żelazna oprawa u spodu aż po rękojeść, mierzyła przynajmniej półtora łokcia. Grot był o trzecią część krótszy, czworograniasty; tylko partacze używali trójgraniastych albo okrągłych. Dla wzmocnienia wiotkiej kibici kopii, biegły od grotu na dobre półtora łokcia dwa mocne pręty czyli pióra żelazne. Po oprawie tych piór można było zmiarkować mistrza. W nich-to cała dzielność kopii się ukrywała. Przy dobrej osadzie były pióra na pół cala szerokie, dwunastą część cala grube i w pół drzewca wpuszczone. Ćwieki, któremi je przymocowano, musiały wprzód umaczone być w occie. Dziurki do ćwieków nie powinny były wiercone być naprzeciw sobie. Główki zaś od ćwieków miały być gładkie, aby się ręka na nich nie zadzierała.

To też gładka i równa i polerowana była kopia pana podkomorzego, jakby cacko panieńskie. I strojna w kitajkowy proporzec, który zwisał poniżej grotu, koloru żółtego i zielonego, na ćwierć łokcia szeroki a do pół kopii długi. I gdy bywało, uwinęta w wstęgę proporca, tuli się kopia pana podkomorzego spokojnie w kącie przy łożu pańskim, myślałbyś, że to bawidelko niewinne, gdyby nie czerwona plama na grocie, krew szwedzka z pod Klissowa<sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Pałuki nazwa obszaru w Wielkopolsce między Welną a Notecią; <sup>2)</sup> Jan Mikołaj K., komendant Kamieńca Pod. za Augusta II; <sup>3)</sup> miasteczko i dobra w pow. Żeżyckim gub. Witbskiej; <sup>4)</sup> okucie spodu kopii; <sup>5)</sup> Klissów nad Nidą pamiętny zwycięstwem w r. 1702 Karola XII króla szwedzkiego nad Augustem III.

Kochał się też pan podkomorzy w swojej i w wszystkich kopiach! I napisał nawet uczoną książkę na ich pochwałę, którą potem księży Jezuici wydrukowali w Kaliszu. Kiedy już w podeszłych latach wziął mnie chłopcem do siebie, musiałem nieraz czytać przed nim z tej książki, jako wielce moralnej i użytecznej młodemu wiekowi. Owszem dedykował<sup>1)</sup> ją z tej przyczyny bardzo pobożnemu kapłanowi, księdzu biskupowi plockiemu Dębowskiemu, swemu kolli-gatowi<sup>2)</sup>, z którym najwięcej dla tego pochrlebiało mu powinowactwo, ponieważ ksiądz biskup był herbu Jelita czyli trzy kopie. Tak jeszcze dzieckiem będąc, nauczyłem się cenić i szanować kopię hussarską.

Toćto najstarożytniejsza broń świata, głośna w piśmie św. i w pismach mędrców pogańskich. Kopii krótkiej zażywali niektórzy królowie w oznakę najwyższej władzy. Później, gdy berła wymyślono, służyła ona kapłanom pogańskim za także godło. Po rozszerzeniu się ewangelii i nastaniu rycerstwa chrześcijańskiego przeszła kopia w ręce rycerzy, poczytujących ją za najcenniejszą broń swoją. Mieczem szermowano<sup>3)</sup> w chwili spoczynku, gwoli zabawce; gdy szło na ostre, dobywano *królowej broni*. Miecz pozostawiono giermom i pacholikom, a rycerz kruszył kopią. W turniejach<sup>4)</sup>, kto zwykłym trybem rycerskim okupił sobie u heroldów<sup>5)</sup> wolność walczenia kopią, ten mógł potem bezpłatnie walczyć dowoli mieczem; kto zaś tylko popis mieczem okupił, ten musiał płacić z osobna za walkę kopią. Ztąd urosło przysłowie turniejowe: Kopia wyzwala miecz, miecz nie wyzwala kopii.

W onych to czasach rycerskich walczyło nią wielu bohaterów cnotliwych, którzy po śmierci weszli jako święci w kalendarz. Czy widziałeś chłopcze, aby jakiego świętego malowano kiedy z strzelbą lub bandoletem<sup>6)</sup>, a z kopią jest ich kilku, jako św. Jerzy, św. Marcin, św. Maurycy. Dlatego też i Dawid ofiarował

<sup>1)</sup> przypisał; <sup>2)</sup> krewnemu; <sup>3)</sup> robić bronią; <sup>4)</sup> zabawy rycerskie; <sup>5)</sup> zwiastun; <sup>6)</sup> gatunek broni ognistej.



Panu Bogu kopią Goliata, a procy, którą wiktoryę<sup>1)</sup> z niego otrzymał, nie ofiarował.

Wtedy z krzyżem dostała się kopia do Polski. Dobrze jej było u nas, jak nigdzie w świecie. Kopia znalazła u nas, czego kopii potrzeba; my w kopii, co dla nas najpotrzebniejsze. Boć kopii najmilej w szerokiem polu, w roztworzystym obszarze, a gdzież pola więcej jak w Polsce! Naszemu zaś niebu godzi się oręż, którego nie uszkodzi wilgoć, nie zamoczą deszcze, nie strawi rdza, a w tem nie masz nad kopią. To jedyna zdrowa, jedyna żywa broń! Z muszkietu<sup>2)</sup> gdy wystrzelisz, to go potem rzuć chyba w błoto. Lepiej wtedy mieć dobrą dębową pałkę, niż flintę w ręku. Kopia przeciwnie, zawsze nabita. U niej proch nie zwilgotnieje, zapal się nie zatka, skałka się nie rozpali, panewka się nie złamie. Ona zawsze sucha i chędogą bez daszków, płaszczyków i namiotków, niezbędnych flincie. Nie boi się ani słońca, ani deszczu, ani rosy, ani kurzawy. Nie potrzeba jej plastru, szpiku, oliwy; obejdzie się bez różków i flejtuchów<sup>3)</sup>; nie wie co szrubsztok<sup>4)</sup> i drewniko do polerowania. A trzykroć dalej sięgnie niż szabla.

Dlatego też przyznał Polak do kopii, a kopia do Polaka. Była to przyjaźń i miłość jak za dni Dawida i Jonatana. Nie pozwolono używać jej nikomu, jak tylko szlachcicowi. Szlachcic zaś, czy to w domu, czy w polu, nie miał nic kosztowniejszego nad kopią. W czasie pokoju, gdy bywało dom stawia, bierze naprzód kopią do ręki i wymierza nią wysokość i szerokość komnat, aby jej nie było ciasno w nowym budynku. Gdy na wojnę ruszono, rozsyłał hetman nowe kopie rycerstwu. Gdzie po leżach<sup>5)</sup> zimowych stanąć miało wojsko obozem, tam, wedle starożytnego zwyczaju, zatknięto kopią w polu albo na łące. W batalii kopia, ten najpewniejszy klucz do wiktoryi, otwierała niechybnie wrota zwycięztwu. Ona to impetem<sup>6)</sup> swo-

<sup>1)</sup> Zwycięstwo; <sup>2)</sup> gatunek broni palnej; <sup>3)</sup> kłak do zabijania naboju; <sup>4)</sup> narzędzie do odkręcania szrub; <sup>5)</sup> kwatery zimowe wojska; <sup>6)</sup> zapęd.

im rozbijała chmury nieprzyjacielskie pod Kirchholmem, Kłuszynem, Chocimem i Cudnowem. Drzewce kopii stało się drzewem, na którym sława polska najpiękniejszy męztwa swojego wydała owoc. Wojownik, któremu przed innymi powierzono ją do piastowania, zwał się hussarz. Był to ostatni rycerz wedle pisma świętego.

Inne wszelako pismo zasmakowało ludziom. Ustało rycerstwo chrześcijańskie w świecie. Przedrzeźniając się kopii, wymyślili ludzie rożenek, który zatknięto na muszkiet i nazwano bagnetem. Podobało się to Francuzom, którzy wtedy pod swoim *grand roi*<sup>1)</sup> królem Ludwikiem XIV zaczęli zdrobniałemu przewodzić światu. Ludwikowi XIV zalecił go *monsieur*<sup>2)</sup> Louvois, a wiadomo, że ani Ludwik XIV, ani *monsieur* Louvois nie byli wielkimi bohaterami. Ale że wiele wojen toczyli, więc zagęściło się w świecie to licho i odjęło ludziom serce od kopii. Już jej zresztą mało gdzie widać było po świecie za granicą. Tylko u nas jeszcze świeciła się garstka rycerstwa i tkwiła kopia w ręku. Aż i u nas zaczęto przebąkiwać o nowej modzie, o nowej broni, a gdy w roku 1689 wyprawiało się rycerstwo na Bukowinę, przeciwko Turkom, pan hetman Jabłonowski, pierwszy hetman, który się dał konterfektować<sup>3)</sup> w peruce, nie rozdał nowych kopii hussarzom, lecz kazał wziąć im muszkiety z bagnetami.

Zmiarkowała hussarya co się święci. Otóż, gdy wkrótce umarł Jan III i nadeszła elekcyja, dowiadywano się zcicha o kandydatach, jaką który broń lubi. Książę de Conti, Francuz, pasyonował<sup>4)</sup> się do bagneta; elektor saski August miał gorący afekt<sup>5)</sup> do kopii, Odprawiono tedy z kwitkiem Francuza a okrzyknięto hurmem<sup>6)</sup> Augusta.

Jakoż było wielki zaprawdę król, jeden z owych dawnych monarchów rycerskiej duszy a wspianego serca. Bagnety zginał jak szpilki i owijał sobie około ręki. Sam gonił do pierścienia, umiał szermować z sza-

<sup>1)</sup> Wielki król; <sup>2)</sup> minister wojny Ludwika XIV; <sup>3)</sup> portretować; <sup>4)</sup> zapalać się; <sup>5)</sup> upodobanie; <sup>6)</sup> tłumem.



blą w lewej, a kopią w prawej ręce, lubił i wyprawiał turnieje. Nie zawiedli się też na nim hussarzy nasi. Wrócił im kopie, i starał się wszelką siłą wskrzesić ich dawną sławę. Dlatego o nic tak nie dbał, jak o ludzi rycerskich, znających się na robieniu tą bronią.

Pomiędzy takimi wpadł mu osobliwie w oko mój w następnych leciech dobrodziej, podówczas jeszcze młody, pan podkomorzy parnawski. Był to rodowity szlachcic inflancki, spokrewniony przez żonę z wielu staropolskimi domami. Nie podobna było wymyśleć coś piękniejszego, jak pan podkomorzy w pełnej zbroi hussarskiej. Widywałem go w niej co roku na Wielkanoc, gdy starzec z pacholkiem jechał konno w Rybniszkach. Na głowie szyszak<sup>1)</sup> błyszczący, pierś i cała postać w żelazie, u barków dwa w górę wzniesione skrzydła sępie lub orle. Z pleców spływała skóra lamparcia, karmazynowym adamaszkiem podbita, złotemi pod szyją szponami spięta. Po jednej stronie miał krzywą szablę u pasa i długi prosty miecz, koncerz, przymocowany u siodła; po prawej obuch do rozbijania zbroi nieprzyjacielskiej, i — królowę całego rynsztunku, kopią w tulei. Nuż gdy w stroju takim, marsem młodych lat rozogniony, złożył się kopią! natarł na czele swojego hufcu!

A poznawszy go zresztą rezolutnym i biegłym w sztuce wojennej, porucił mu król August uformowanie dwóch nowych pułków hussarskich. Jeden miał być całkiem podług starej mody uzbrojon, drugi cokolwiek lekszy. Zaczynając od rzeczy mniej kosztownej i trudnej, ustanowiono najprzód pułk pośledniejszy, ubrany w kolety<sup>2)</sup> sukienne, bez żelaza i wedle nowoj maniery, *permixtim*<sup>3)</sup> z *szlachty*, i plebejuszów złożony. Nazywano ich hussarzami, albo jeszcze zwyczajniej lancyerami.

Gdy miało przychodzić do wystawienia pułku drugiego, usłyszał August II, że ów francuzki król Ludwik, wróg kopii, chciał na własne oczy obaczyć hussarza polskiego, aby się też przekonać, czy to w rzeczy tak

<sup>1)</sup> Helm; <sup>2)</sup> krótka suknia skórzana; <sup>3)</sup> pomieszany.

straszny żołnierz. Lubo więc król August nie żył w wielkiej przyjaźni z monarchą francuzkim, przecież dla kopii i jej chwały umyślił mu dogodzić. I wysłał tedy pana podkomorzego z całym pocztem hussarskim na dwór króla Ludwika, mówiąc: „Nie dość, że w domu wskrzesimy hussaryę; potrzeba jeszcze rozślawić ją znowu w świecie!”

Jakoż czuł pan podkomorzy co za odpowiedzialność wziął na siebie, i był pewnym, że król francuzki weźmie go z sobą w pole, na wojnę, gdzie pan podkomorzy zrobił ślub w duszy, albo zginąć w oczach króla Ludwika, albo nawrócić Francuzów na wiarę kopii.

A król francuzki cóż?

Oto kazał panu podkomorzemu na dziedzińcu w Saint-Germain<sup>1)</sup>, przed wypudrowanymi markizami<sup>2)</sup>, ze swoim pocztem hussarskim kadryla tańczyć na koniu. Jakby hussarz i koń hussarski byli na to stworzeni, aby nosić kapryole<sup>3)</sup> i kurbety<sup>4)</sup> wycinać! Pan podkomorzy wrócił z sercem skrwawionem. Niepodobna mu było pozbyć się myśli, że gdyby kto inny, ktoś zręczniejszy, możeby się sprawą lepiej była powiodła. Ogarnęła go więc melancholia, w której ciągle powtarzał, że nie wart nosić kopii. Nakoniec podziękował królowi za rotmistrzostwo hussarskie i wstąpił do infanterji koronnej, gdzie wkrótce na jenerał-majora wyszedł. Zawsze jeszcze rozprawiał pan podkomorzy z królem Augustem o usztyftowaniu drugiego pułku hussarzy, ale niebawem król August umarł, a następca jego myślał tylko o operze drezdeńskiej, i nie przyszło nigdy do resurekcji hussarstwa.

A pan podkomorzy, usiadłszy na starość w Rybniszkach i pojeźdźszy się z dawną zbroją hussarską, która w każde wielkie święto wychodziła z starożytnej szafy kracianej, mawiał po każdym odczytaniu książki o kopiach: „Póki kopii a hussarza stanie, przepowiedział mądry statysta<sup>5)</sup>, pan kasztelan lwowski Fredro,

<sup>1)</sup> Rezydencya królów francuskich pod Paryżem; <sup>2)</sup> tytuł szlachty francuskiej; <sup>3)</sup> wykonywać skoki; <sup>4)</sup> dygi, ukłony, harce; <sup>5)</sup> mąż stanu.



póty będzie Polak pan w polu. Skoro kopia zginie, zginie i polska cnota. Zginęła widać jedna, a oto i drugiej już na schyłku.“

Na wiadomość o śmierci pana podkomorzego zjechali się wszyscy pozostali hussarze na solenne exekwie<sup>1)</sup>. Było ich już zaledwie siedmdziesięciu. A ponieważ tylko przy takich pogrzebnych uroczystościach widywano ich jeszcze w liczbie znaczniejszej, przeto do różnych zarzutów przeciw nieużyteczności hussaryi przybyło jeszcze szyderstwo ludzkie. Wojownicy uczo-nemi racyami<sup>2)</sup> zdyskredytowali<sup>3)</sup> kopię rycerską, panowie zaprzestali służyć wojskowo, albo woleli na co innego niż na kosztowną zbroję hussarską trwonić majątki, a gawiedź prosta, rada zawsze nowemu panu i nowej modzie, naśmiewała się z starych hussarzy, nazywając ich rycerzami pogrzebowymi. Przy każdym zresztą pogrzebie występowało ich coraz to mniej. Nakoniec, na sejmie delegacyjnym r. 1775 zupełnie skasowano hussaryę.

Pozostały tylko owe lancyery króla Augusta. Nie byli to właściwie starodawni hussarze, gdyż naprzód nie nosili zbroi żelaznej, a nadto składali się bez różnicy ze szlachty i plebejuszów. Że jednak mieli kopią, czyli, jak teraz częściej mówiono, *lancę*, więc kto tylko kochał przeszłość krajową, ten w lancyerach szanował ostatni szczątek hussarstwa. I nazywano ich też rozmaicie: Lancyery, Hussarze, lub Kopijnicy. Z czasem, mając wzgląd na ich lekkość i ręczność, pochodzącą naturalnie z braku rynsztunku żelaznego, a niekoniecznie zgodną z przeznaczeniem starej hussaryi, przyrównano ich raczej do innego żołnierza w dawnym wojsku koronnem, to jest do również skasowanej jazdy tatarskiej, w której towarzysz zwał się z tatarską *ułan*, tyle co kniaź. Ztąd przyrosła naszym lancyerom nazwa hułani, wzięta z tegoż samego słownika, z którego przyszło do nas wiele innych wyrazów sztuki wojskowej, jako *buława*, *buzdygan* etc. A gdy za króla Stanisława Augusta przystąpiono do

<sup>1)</sup> uroczyste nabożeństwo żałobne; <sup>2)</sup> dowód; <sup>3)</sup> obniżyć.

reorganizacyi wojska koronnego, ci z hussarska uzbrojeni lancyerowie, powszechnie teraz dla swego powinowactwa z hussaryą szanowani, a od publiczności hułanami ochrzczeni, otrzymali kawalerji narodowej denominacyą<sup>1)</sup>.

Temuto chłopcze mówią, że wojskiem narodowym byli hułani, lubo nie słyhać o nich w historyi. Hussarza to czczono w hułanie, a hussarz wzbudzał cześć jako rycerz, jako pan kopii, królowej broni. Ona to unobilitowała<sup>2)</sup> hussarzy i hułanów, a wy nie wiecie wcale co kopia!

Chłopiec już nie słyszał tego wyrzutu. Usnął w pół rozprawy u kolan dziadka. Ukołysany opowiadaniem, marzył słodko o hussarzach i o hułanach.



<sup>1)</sup> Nazwa; <sup>2)</sup> uszlachcić.





Strach, ze zawa  
Lampa zgasła.



owca z wiew.



1) Tumburgenku sigt  
 herbatu — dabau pui d'vuroz  
 albo s'etge.



Pobugisvige tytko troch,  
 a ju sarau d'vovig.



Reltocio sy eggdro zibit, parig eyburoz  
 der mugmoreg sig — wim dabau — zaimu d'vise  
 univudy uing.



1556

